Nr. 41 (1241). Warszawa, 25 Września (8 Października) 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

O prezydenturę.

W grudniu odbędą się wybory kolegiów wyborczych, mających wybrać prezydenta wielkiej rzeczypospolitej amerykańskiej na następne czterolecie, od 4 marca 1905 r. Jak bywało zawsze dotychczas, zetrą się i teraz z sobą na wyborach dwa główne stronnictwa, utrzymujące ferment w masie ludności: demokraci i republikanie. Ścierają się już od półroku w samem przewidywaniu wyborów, a o ich walce olbrzymiej dają wyobrażenie te tysiące ton papieru, te miliony dolarów, te niezliczone podróże i wiece, te niezmęczone nigdy nogi i usta, wszystkie te narzędzie, bez których obywatel nie mógłby wykonać swego prawa do uczestniczenia w wyborze gospodarza dla rzeczypospolitej. Podobno walka obecna jest zaciętszą od wszystkich dawniejszych. Patrząc na nią, możnaby mniemać, że oba rozłamy społeczeństwa amerykańskiego, walczą o jakieś wielkie dobro, że jeśli niem nie jest wyższość jednego kandydata nad drugim, to musi być jakaś zasada wyobrażana przez jednego, wręcz wroga zasadzie, którą do imienia swego przyczepił drugi. Taka zapalczywość, jak obecnie, zdarza się tylko w chwilach ciężkich przejść i wielkich zagadnień narodowych na przyszłość. Do takiej zapalczywości zdolne są tylko dusze czyste, umysły silne, namiętności szczere, ognie idealne, palące się w człowieku. Jeżeli gdzie, to w każdej dobrze żyjącej rzeczypospolitej takie stany gorączkowe nietylko przewidywać można, ale i radośnie witać potrzeba.

Ktoby się tak na ruch obecny zapatrywał, okazałby się marzycielem, niemającym prawa wchodzić w ogrodzenie, które polityka za swoje uważa. W ruchu obecnym ani walka o zasady, ani ścieranie się o osoby, ani gorączka wywoływana przez wypadki lub praktyczne zagadnienia życia — nie daje rozpędu tym pobudkom, które sprawiają wrażenie głębokich wstrząsających namiętności. Proces jest zwykły, powtarza się od Jacksona co cztery lata; siła rozpędowa również nie jest niezwykłą, i to, co się dzieje teraz, działo się i dawniej i z tej samej twórczej podniety. Walka o prezydenturę stała się już nałogiem całego społeczeństwa i należy do historyi raczej jego obyczajów, niż jego polityki. Ani republikański Roosevelt nie jest w opinii publicznej o tyle wyższym nad demokratycznego Parkera, aby republikanie tylko za niego i dla niego głowy sobie rozbijali; ani znowu Parker nie stoi tak nizko, aby demokraci wytężyć musieli wszystkie siły, jeśli go chcą na prezydenturze osadzić. Również i pragnienia republikanów nie są tak biegunowo przeciwne pragnieniom demokratycznym, aby samo uczucie obywatelskie, czysta troska o dobro powszechne wytłomaczyć mogła ową zapalczywość walki o prezydenta. Gdyby nawet w teoryi istniały subjektywnie różnice wielkie, to praktyka, wspólne warunki bytu, zależność od opinii publicznej, moc faktów dokonanych i kierunków nabytych — konieczność przedmiotowa — musiałaby je zetrzeć do *minimum*.

Ale różnice między republikanami a demokratami amerykańskimi w rzeczywistości, gdy wyłuszczymy przekonania i dążenia istotne z łupiny wielkobrzmiących słów — okazują się wcale niewielkiemi, nie usprawiedliwiają wielkości układów, czynionych przez kazde stronnictwo do wspólnej zasobni materyalnych i duchowych środków walki. Demokraci, gdyby się dorwali do władzy wykonawczej, nie mogliby przywrócić waluty srebrnej, jako jedynej, nie zrzekliby się też pewno żadnego z nabytków r. 1898, a wątpić potrzeba, czyby się odważyli, wobec straszliwego wzrostu militaryzmu w świecie całym, rooseveltowski plan zbudowania floty wrzucić do kosza. Jeżeli się dobrze zastanowimy, to prawdziwą różnicę, którą ostatecznie ustali, nie subjektywne mniemanie i chcenie, ale jedynie tylko i wyłącznie przedmiotowa konieczność, stanowi imperyalizm, któremu hołduje Roosevelt, a od którego odwracają się ze wstrętem, dotychczas jeszcze niewypróbowanym przez rzeczywistość, demokraci. I tu jednakże od słowa do czynu, od litery manifestu do treści przekonania jest bardzo daleko. Przekonania demokratów na tym punkcie ustali ostatecznie opinia publiczna, a zbiegowstwo z pod sztandaru demokratycznego, ujawnione już w całym szeregu wypadków, odejmuje owemu wstrętowi moc zasady niewzruszonej, bezwzględnie imperyalizmowi, a więc i Rooseveltowi, przeciwnej.

Co więc głównie pędzi tych republikanów zamorskich do walki? Korzyści, które dla każdego z walczących stronnictw wyobrażają w tej grze bojowej — stawkę, wartą i tych ton papieru i tych manifestów, przeważnie krzywoprzysiężnych, któremi je druk uczernia. Pomijając już dostawy i koncesye, źródło nieostatnie bogactwa w Stanach Zjednoczonych, stronnictwo zwyciężające dostaje odrazu łup ze stu tysięcy urzędów do rozdania. Republikanie łupu tego bronią, demokraci chcą go posiąść: i to jest najdzielniejsza sprężyna, najistotniejsza pobudka do walki. Minęły już czasy idealizmu, kiedy Jefferson wy-

stępował jako kandydat częstego demokratycznego republikanizmu przeciwko Washingtonowi i Adamsowi, kiedy wiara w rzeczpospolitą miała moc religii zbawiającej ludzkość, kiedy w pięknym umyśle trzeciego z rzędu prezydenta Unii rodziła się idea Stanów Zjednoczonych Europy, jako duchowego wytworu Stanów Zjednoczonych Ameryki. W niezgłębioną toń zapadły już sny o czystości rąk, dotykających grosza publicznego, o sprawiedliwości w sądach, nieskazitelności w urzędach, o ojcowskiem dostojeństwie i ojcowskiem powołaniu senatorów i reprezentantów w życiu rzeczypospolitej. Dziś pieniądz, urząd dochodny, władza nasycająca ambicyę, zapewnione sobie pomyślności materyalnej jest wszystkiem. Właśnie też o te dobra walczą z sobą stronnictwa amerykańskie, o ile je posiadanie prezydentury zapewnia. Kwestya osoby jest kwestyą stronnictwa, a kwestya zasady — kwestyą dolara.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Trzebaby potężnego reflektora, żeby można było widzieć jasno w tej ciemności, w jakiej doniesienia obu stron trzymają widownię wojenną między Liao-jangiem a Mukdenem. Nawet rzeczywistego położenia obu armij nikt nie zna. Logika tylko, wiara w rozsądek strategiczny i instynkt zachowawczy gen. Kuropatkina nakazuje wierzyć w obsadzenie przez niego obu brzegów rzeki Hun-ho, przekonanie zaś o konieczności zaczepnego działania Japończyków, przy zbliżających się mrozach i zwiększających z każdym dniem siłach rosyjskich, nasuwa domniemanie, że sztab gen. Oyamy musiał wojska swoje jak najbardziej przybliżyć do Hun-ho od południa, aby znowu na obu krańcach widowni, zachodnim i wschodnim, dążyć do jej przekroczenia. Ale czy rzeczywistość odpowiada wyrozumowanym kształtom figury, którą zarysowuje samo rozmieszczenie wojsk, czy odpowiada kierunkowi ich parcia siłą lub ciążenia na przeciwnika samą masą? Wojska rosyjskie stoją rzeczywiście nad brzegami Hun-ho: z zachodu było doniesienie o 10,000 kozaków, którzy ich strzegą, na wschodzie niewątpliwie już prawdziwie bojowe siły stoją w Fuszunie, o jakie 30 klm. na wschodo - północo - wschód od Mukdenu; wreszcie pomiędzy Hsin-mintinem a Mukdenem odbywa się stały ruch dowozów, a zatem zachodnio-północna część widowni znajduje się w rękach rosyjskich.

Czy jednak takie zajęcie północnego, prawego brzegu Hun-ho, jakie wypunktować się daje na mapie z pomocą powyższych faktów, jest skutkiem zamiaru bronienia się nad rzeką, czy też dopuszcza domniemaną możliwość odwrotu postanowionego już przed walką?— tego bynajmniej niepodobna rozstrzygnąć. Trudno też jest powiedzieć, o ile Japończycy zamierzają powtórzyć pod Mukdenem natarcie swoje na Liao-jang i całe jego czteromilowym promieniem zakreślone półkole południowe. Nie to, czy mają chęć, ale czy przy chęci mają i siłę potrzebną dla rozsądku do wytworzenia poważnego zamiaru i ukształtowania go w plan działań? Jeżeli czują się na siłach, jeżeli owe 50,000 rezerw, o których doniesiono, nie są mytem, to stan bezwładności, trwający już od miesiąca, wytłomaczyć sobie można tylko potrzebą, również i przez gen. Kuropatkina, i może w wyższym jeszcze stopniu, odczuwaną, przyprowadzenia wojska, zwłaszcza artyleryi, do stanu zupełnej gotowości bojowej. Zaświadczy o niej dopiero doniesienie, że znaczne oddziały japońskie gen. Nodzu lub Oku uderzyły na Tszantan, przeszły na prawy brzeg rzeki, dążąc do Cikuntaju i Pintapu dla opanowania drogi mandaryńskiej z Hsin-mintinu do Mukdenu, a z drugiej znowu strony Kuroki natarł na Fuszun i Inpan, aby przez górną Hun-ho dostać się na północo-wschód Mukdenu. Wtedy dopiero byłoby prawdopodobnem przeniesienie głównej kwatery gen. Kuropatkina do Tie-lingu, jako zapowiedź odwrotu z nad Hun-ho. Siły obustronne są prawie równe — po 13 dywizyj. Obie strony otrzymują wciąż posiłki; obie już dzisiaj rozporządzają kolejami; Japończycy bowiem przerobili już tor i sprowadzają tabor z Japonii.

Wiadomość *Matina* o generale Leniewiczu, z Władywostoku dążącym na Koreę w 120,000 wojska, jest dziecinną: nie trzyma się takiej siły zdala od widowni takich bojów, jak pod Wafankan i Liao-jangiem. Armia, o której donosi dziennik paryski, jest jego własną armią; on jeden tylko może z nią wyruszyć — ale nie na Koreę. Natomiast występuje, już nie wiadomość, ale możliwość dla Japończyków groźna. Jeżeli gen. Kuropatkin posiłki, które mu przybywają, rzuca na zachód pomiędzy obie drogi żelazne, Hsin-mintyńską i Kajczu mukdeńską, to marszałek Ojama będzie musiał pomyśleć o bezpieczeństwie lewego swego skrzydła i środka. Kuroki na prawem skrzydle jest o wiele lepiej zabezpieczony przez wzgórza i bezdroża.

Port Artura znajduje się w położeniu coraz cięższem. Fort Kuropatkina, zajęty przez Japończyków jeszcze w środku ubiegłego miesiąca, bronił wodociągu z pobliskiej rzeki; zajęcie go pozbawiło oblężonych wody słodkiej a niezastałej. Esauł Radziwiłł, który ponownie zjawił się w Czyfu, opowiada, że czasem bywa rozdawane mięso końskie; inny świadek zapewnia, że jest jeszcze chleba razowego pod dostatkiem; inny wreszcie twierdzi, że są i ryżu znaczne zapasy. Z tego wszystkiego widać, że normalnej żywności już braknie. Załoga odpiera walecznie napady, ale też i mimo waleczności ulegać im musi. Według „Agencyi telegraficznej" szturm do fortu Iteszan na zachodzie w d. 19—22 z. m. spełzł na niepowodzeniu Japończyków. O losach wszczętego według *Nowoje Wremia* nowego boju o warownie w d. 23 z. m. nic nie wiemy. Chińczycy donoszą o walkach w d. 26 i 27 z. m., ale Chińczycy straszliwie kłamią. Strzały japońskie sięgają już w głąb miasta i zagrażają flocie; rozeszła się też d. 3 b. m. pogłoska o wypłynięciu jej na morze, i nawet o bitwie.

W polityce, osnuwającej się na wojnie, najważniejsze są dwa wypadki: zwierzenia p. ministra spraw wewnętrznych, ks. Światopołk-Mirskiego, uczynione przedstawicielowi berlińskiego *Local Anzeigera* i chwytanie gałązki oliwnej przez prezydenta Roosevelta. Książę oświadczył, że „wzrost Japonii zagrażałby nietylko Rosyi, ale i całej Europie; dlatego też sympatye Europy nie powinny być po stronie Japonii. Anglia powinna również zrozumieć, że tylko zupełne pognębienie tego wroga azyatyckiego może zapewnić spokojną przyszłość na Dalekim Wschodzie." Prezydent Roosevelt głównie w interesie Ludzkości, identycznej z kupcem i przemysłowcem, polecił p. Hayowi wybadać gabinety, czyby się nie zgodziły na wydanie w r. 1905 ponownej edycyi konferencyi w Hadze, a przy tem wybadywaniu dotknąć i pulsu praktycznego pośrednictwa w wojnie obecnej. Druga część badania, dla owej ludzkości głównie podjęta, ma już całą swą legendę. Toczą się już układy pomiędzy gabinetami; Hay wróży bliski pokój, Delcassé podał dłoń Rooseveltowi a pobudził Giolittiego, prezesa ministrów włoskich; Giolitti pojechał do Homburga, aby nakłonić Bülowa; Bülow jedzie nawet sam na dwa tygodnie do Rzymu; ma inne interesa, ale ma i pokój na sercu, a serce duże, dla ludzkości silnie bijące. Oto i robota gotowa. „Agencya telegr. rosyjska" z oburzeniem odpiera samą myśl nowej biesiady dyplomatycznej w Hadze, występującą teraz, podczas wojny, a jakże jeszcze od tej myśli daleko do propozycyi pokoju! Ludzie poważni mogą widzieć w legendzie tylko grę giełdową lub dziennikarską. Delcassé z pewnością nie robiłby nic bez Rosyi; Giolitti z Bülowem rozmyślał nabożnie o Adryatyku

---

Cezary Popławski.

FRAGMENTY.

*

Mietlica.

Patrz, jak cudnie połyskuje łan mietlicy w powodzi zachodzącego słońca, jaki przecichy szept płynie po jedwabistych wiechach, jak lubieżnie ścielą się one w topieli słonecznej, jak słodkimi snami odurzone ich kiście — rozchwiane, rozmarzone, ucziszone!..

Nad płową niwą mietlicy bujają roje muszek. Ich granie cichuchne napełnia powietrze kryształowym jękiem: on daje głos żałosnym wyznaniom szarych główek, przypina skrzydła ich niemym tęsknotom, drga niewidzialnym płomieniem ich pragnień, wyssanych korzeniami z czarnej ziemi...

Nad szarem polem mietlicy przelatuje wiatr i wygładza jej włosy puszyste: mietlica słania się nieprzytomna i upojona pieszczotami wiatru, czepia się jego żagli smugą swych aromatów i wlecze się w dal — rozmodlona, obłąkana, załzawiona...

Gdyby...

Gdyby dusza moja po śmierci mogła — jak pszczoła złota — nurzać się w wonnych kielichach, lub wisieć długie chwile znieruchomiona w cichej pieśni dnia słonecznego, gdyby mogła pławić się w zielonej poświacie majowego księżyca, słuchać szelestu srebrnej fontanny, czaić się śród tajemniczych szeptów nocy: — chciałbym umrzeć...

Bez tej rękojmi ukojenia i ciszy śmierć wydaje mi się przerażającą; więc, zatoczywszy okiem dookoła, nieraz, jakoby w chwilach jasnowidzenia, poznaję, że nie masz nigdzie piękniejszej krainy od naszego świata, ani też skarbu cenniejszego nad życie.

Pająk.

W sercu ludzkiem czai się złośliwy pająk, który dniem i nocą sprawuje nieustannie swe tajemnicze posłannictwo. Drzemie on niewidzialny w mrocznych cieśniach i sposobi szarą przędzę na dzień smutku, na godzinę strapienia.

Właśnie życie szare dostarcza mu obfitej kądzieli: wysnuwa ją z szarych dni, co się wloką ślimaczo, z szarych chmur, które wiszą nad głową, z szarej słoty, ze zmornej nudy: — z całej królewskiej dziedziny wielkiego Arymana.

A kiedy w sercu drgnie życiem różany pączek i światła chciwy wytęży się ku słońcu — wnet z mrocznych cieśni wynurza się pająk i ostrożnie a gorliwie zaczyna spowijać go w szarą, złowrogą przędzę. Praca jego zapobiegliwych, kosmatych łapek postępuje chyżo, a wokoło rubinowego pączka wikła się sieć misterna, splątana w szary kokon, w utulony, cichy grób.

* * *

Smucą mnie liście jesieni pożółkłe, bo wiem, że ich szelest jest pieśnią wieczności.

Smuci mnie widok twarzy zniszczonych i bladych, bo mi się zdaje, że widzę, jak życie w proch się obraca.

Smucą mnie dni jesiene, nasiąknięte wilgocią i strawione febrą.

Trwożą mnie noce głuche, zasiane milczeniem, zawleczone mgłami.

Nuży mnie samotność i nużą tłumy; nużą

i Austryi, o pożyczkach i kolejach państwowych; a p. Bülow, czy pojedzie do Rzymu, czy nie, mimo całej przyjaźni Prus dla Rosyi, trwającej już od półtora wieku, zawsze szczerzej życzy Rosyanom wojny na dwu frontach, niż pokoju na jednym.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

Ciekawą, dość poważną rubrykę zajmuje ryż z Saigonu 4,578,986 kilogr. z 406,750 dol. — Z powodu tego ryżu dał mi na Jang-tse-kiangu następujące objaśnienie jeden z dyrektorów tamtejszego japońskiego towarzystwa żeglugi parowej: [1])

— Widzi pan, Korejczycy posiadają ziarno od naszego niegorsze, ale go nie umieją obrabiać, uprawę mają gorszą i sprzęt mniej staranny. Otóż my wyprzedajemy własne, wyborowe ziarno do Europy i Ameryki, a sprowadzamy natomiast gorszy ryż korejski, zaś Korejczycy sprowadzają dla siebie jeszcze gorszy i jeszcze tańszy ryż z Chin i Siamu! — To samo dzieje się z maszynami, tkaninami, bronią... My dużo jeszcze tych rzeczy sprowadzamy dla siebie z Europy i Ameryki, chociaż sporo już wyrabiamy na sprzedaż do Chin i Korei... Nasze wyroby są o wiele gorsze, ale i o wiele tańsze... Korejczy są ubodzy ceny nasze są dla nich dostępniejsze... My zaś uczymy się w ten sposób, gdyż aby robić rzeczy doskonale, potrzeba zacząć od wyrobów mniej doskonałych..."

Wiele ciekawych rzeczy opowiedział mi o Korei, Formozie i Japonii ten miły i ukształcony Japończyk w czasie naszej wspólnej podróży do Hankau. O trafności jego poglądów oraz prawdziwości podanych faktów wielekroć razy przekonałem się następnie przy bliższem, książkowem zbadaniu sprawy, wielokrotnie też korzystałem z jego wskazówek.

Ale są wyroby, w których Japończycy odrazu dorównali Europejczykom; ich farby anilinowe, według zdania generalnego konsula angielskiego, bynajmniej nie ustępują *berlińskim* [1]). Rozpatrzmy teraz sposoby, jakich użyli dla stworzenia ożywionych stosunków, łączących ich obecnie z Koreą. W stowarzyszeniach kupców korejskich, w urządzeniach społecznych, w powszechnej biedzie i niewoli ludu, w ślepym i niedołężnym rządzie, wreszcie w samej przyrodzie kraju mieli nieprzezwyciężone napozór przeszkody. Ale nic ich to nie zraziło, gdyż widzieli przezornie w przyszłości wielkie dla siebie zyski oraz rozumieli, że każde inne państwo, które utrwali się na tym półwyspie, zapanuje nad ościennemi morzami i nad ich Japonią.

Urządzili przedewszystkiem wyborną komunikacyę morską między swoją ziemią i otwartemi portami Korei. Czyściuchne, wygodne, eleganckie parowce trzech towarzystw japońskich „Nippon Juren Kajsza," „Osoka Shosen Kajsza" i „Hori Company" z reguralnością zegarka odwiedzały porty. Ponieważ były najtańsze, miały najlepszą tu na Wschodzie obsługę i doskonałą kuchnię europejską, wszywscy przejezdni, nawet większość Rosyan, korzystała wyłącznie z ich usług. Parowce innych narodowości odwiedzały Koreę dorywczo, a Towarzystwa Wschodniej drogi Chińskiej, droższe od japońskich, były wiecznie w takiej niezgodzie z własnym rozkładem, że chodziły zawsze prawie puste i bez ładunku. Jednocześnie urządzili Japończycy wszędzie, gdzie tylko uzyskali na to pozwolenie, pocztę i telegraf, których sprawność powszechnie jest znana i nieustępuje w niczem, ani nawet w dyskrecyi pocztcie angielskiej. Następnie założyli wszędzie, gdzie się tylko dało, agentury przewozowe, filie banków, towarzystwa ubezpieczeniowe (na towary), składy, przystanie, hotele. Nie omieszkały z tego korzystać i inne ludy. [2])

W rezultacie w 1886 roku odwiedziło Koreę z ogólnej liczby 557 statków o pojemności 161,901 ton, 153 parowce i 353 żaglowce i dżonki japońskie (72%), w 1902 roku z 5,462 statków o ogólnej pojemności 1,241,434 tonów do Japonii należało 1,516 żaglowców (61,123 ton. pojem.) i 1904 parowce (878,193 ton. pojem.) (62%).

Dla zogniskowania i popierania handlu japońskiego w Korei zostało założone z współudziałem japońskiego ministeryum rolnictwa i zapomogą rządową 10,000 dol. rocznie „Towarzystwo poznania warunków i opieki nad japońsko-korejskim handlem," które ma główne siedlisko w Czemulpo a oddziały w Seulu, Fuzanie i Genzanie. Składka miesięczna członka wynosi 20 sen (kop.), towarzystwo ma już 500 z górą członków i oddział własny w Osoka. Podzieliło ono całą Koreą na 16 okręgów, agenci każdego z nich poddani są władzy osobnych inspektorów, którzy dostarczają im wskazówek i środków. Towarzystwa przewozowe obowiązane są okazywać im pomoc. Każdy kupiec japoński otrzymuje od towarzystwa bezpłatnie wszelkie informacye i opiekę w razie potrzeby. Okręgi połączone są z sobą własną pocztą i mają możność przesyłania wszędzie przekazów pieniężnych. Nawet nieprzyjaciele Japończyków przyznają, że organizacya ta pracuje wybornie. [1]) Dzięki jej, fabrykanci japońscy otrzymują ścisłe i dokładne wiadomości o charakterze komunikacyi, kształtach i gatunku używanych towarów, cenach, gwarancyach wierzytelności itd. Za pośrednictwem tego towarzystwa wysyłają oni do najrozmaitszych miejscowości swe próbki, a następnie odbierają zamówienia. Dlatego towary japońskie zwalczają z łatwością wszelką konkurencyę, gdyż są zawsze dobrze i odpowiednio dla przewozu opakowane, mają wymiary zastosowane do potrzeb ludności, kształt i barwy zadawalające smak krajowy. Szerokość tkanin zastosowana do kroju ubrania, wielkość całych sztuk do wiekości pojedynczego kupna, robota tkacka i własność

[1]) O prawdzie tej wskazówki przekonałem się następnie z objaśnienia p. A. Hamiltona na str. 306, dołączonego do wykazu importu korejskiego za lata 1901 i 1902, skąd wziąłem przytoczone powyżej cyfry. W wykazie tym nie znalazłem dwóch przedmiotów poważnego handlu: węgla i koksu (około 100,000 dol.) oraz porcelany i fajansu (około 50,000 dol.), oba towary idą z Japonii.

[1]) „Opis Korei", część II, str. 297. Okrzyczana falsyfikacya japońska towarów europejskich wcale nie jest ani gorsza, ani większa od falsyfikacyi, dokonywanych w samej Europie.

[2]) Słyszałem wprawdzie skargi, że towarzystwa i barki japońskie odmawiają ubezpieczeń i pożyczek na towary cudzoziemskie, że każą płacić za nie wyższe frachty, że nie biorą tych towarów na składy, że parowce japońskie, w razie nagromadzenia ładunków, oddają pierwszeństwo japończykom i często wprost nie biorą poruczeń cudzoziemskich. Nie wiem, o ile skargi te są uzasadnione; co do mnie ilekroć miałem do czynienia z powyższemi urządzeniami, zachowywały się one zawsze niezmiernie poprawnie. Niemile uderzyła mię tylko ta okoliczność, że Japończycy nie dopuszczają wcale do swoich statków samodzielnych korejskich i chińskich pracowników oraz nie pozwalają im korzystać ze swoich przystani.

[1]) Pogio: „Opis Korei", część II, str. 265.

---

dni powszednie i nużą święta... a nadewszystko — nuży mnie potok płynącej gamy, której dźwięk każdy porywa swą monotonią i wlecze, wlecze duszę moją w głąb milczących alei, wydłużonych w wieczność!

* *

O, Duszo, nieszczęsna, uciemiężona zmysłami i wplątana w koło tortury istnienia ziemskiego — o, Duszo!

Sen krwawy ciąży na twoich zbolałych powiekach, który — niedoświadczona — pragniesz pochwycić i zatrzymać — sen krwawy...

Gwar złudny dźwięczy w twem uchu i co chwila zapada się w otchłań milczenia — gwar złudny...

A nawet męka, co jak chmiel upaja, a jako cień wszędy chadza, może jest upojeniem tylko i cieniem znikomym — nawet męka!

Jakże więc chcesz o, Duszo, wchłonąć i streścić w sobie świat cały, jakże pochwycisz obłok, odbity w toni jeziora — jak?!

* *

O, ja się spieszę, ja bardzo się spieszę, żeby samotnie nie zostać na tej żałosnej dolinie łez!

Za sprawą dziwnego przeczucia dusza ma dawno odgadła wyższość twoich zasług i święte tradycye mąk twojego serca i długą, przedwieczną drogę twojej tajemniczej pokuty. I dlatego pilno mi w moim pochodzie, dlatego duch mój rozwija loty bolesne, dlatego, wzgardziwszy wszystkiem, co życie rozwlekłem czyni — utrapieniem i myślą górną przysparza zasług, których męką życia sobie nie wyjednał.

O, ja się bardzo spieszę i jestem pełen trwogi o przyszłość, bo nie wiem, zali mi dano doścignąć w doskonałości ciebie umiłowaną i zali sądzono stanąć wraz z tobą u niechybnej mety — nie wiem!

*

Dniem i nocą w mem sercu bębni nieustannie cicha trwoga — podziemne, wiekuiste tętno życia po za życiem, które ostrzega o strapieniach i smutkach, kryjących się w mroku przyszłości.

Chwilami głuche *stacatto* zrywa się gwałtowniej, trwoga rośnie i ogarnia duszę całą, bezsenną męczennicę w powłokach krepy, z drżącemi perłami łez w oczach...

Cicho!.. tam w oddaleniu, w zamglonej głębi mojego świata, sunie milcząca karawana w powłóczystym, długim kirze...

Cicho!..

* *

O, Nieskończoności, jedyna prawdziwa ucieczko ducha, niebieska dziedzino jego natchnień, niezawodna Ultima Thule przenajgłębszych jego boleści!

Ty odbijasz się w złudnych fontannach świata i królujesz w duszach naszych; w tobie oko zatapia się pośród milczenia nocy gwiaździstych i w twojem bezbrzeżu ważą się obłąkane myśli nasze...

O, Nieskończoności, matko nostalgii ducha naszego, raju utracony, kraino najsłodsza! Ty czarem swym zatruwasz pamięć wysłańców twoich ziemskich, dajesz ich sercom oprzęd ze snów magnetycznych i wiążesz ze sobą nićmi niepokonanej, rwącej tęsknoty — o, Nieskończoności!

W tobie duch nasz pokłada najgłębszą wiarę, ku twoim przestworom żegluje niestrudzony i tobie, tylko tobie w godzinę śmierci wyzionie krwawą mękę serca — o, Nieskończoności!

---

nitki — do sposobu prania krajowego. [1]) Japońscy agenci zbożowi z dawien dawna wyjeżdżają co wiosna w głąb kraju i rozdają miejscowym rolnikom pożyczki pod zasiew z warunkiem, aby połowa zbioru została im sprzedana. W jesieni ci sami agenci często werbowani z pośród miejscowych kupców korejskich objeżdżają powierzone sobie okolice i robią zakupy. „Ponieważ zaliczki wydawane przez Japończyków, są zawsze niższe od wartości sprzedanego ziarna, więc w latach urodzaju cieszą się oni wielkimi zyskami, a w nieurodzaj tracą stosunkowo niewiele. Korejczycy w obu wypadkach są też zadowoleni, gdyż mają możność, przy nieznacznem powiększeniu zachodu, zarobić trochę grosza — mówi o tych stosunkach surowy sędzia handlu japońskiego. Drobni przekupnie japońscy przedostają się również zwolna w głąb kraju, pchając przed sobą swój leciuchny, dwukołowy wózek, naładowany rozmaitemi drobiazgami; z powrotem przywożą woreczki ryżu, korzonki żeńszenia, nasienie sezamu, złoto...

Jednocześnie Japończycy przeprowadzili dwie koleje: z Seulu do Czemulpo i z Fuzanu do Seulu, trzecią, z Seulu do Wi-dżu na Phiön-jang, budują obecnie. Szczególniej wielkie ma znaczenie kolej z Fuzanu, która przecina najżyźniejsze i najludniejsze okolice Korei oraz odnóża gór bogatych w pokłady mineralne miedzi, żelaza, złota itd. Zapewne, że wszystko to już daje poczęści i obiecuje w przyszłości Japończykom ogromne zyski, lecz aby oni mogli swe zdobycze handlowe w Korei rozszerzyć i umocnić muszą zajść w samem społeczeństwie korejskiem wielkie zmiany, musi ono uzyskać więcej swobód, sprawiedliwości, podnieść poziom oświaty i prawomyślności, o czem Japończycy dobrze wiedzą i do czego świadomie dążą. Szczęśliwy lud, którego natychmiastowe korzyści gospodarcze historya połączyła z duchowym dorobkiem sąsiadów! ale jeszcze szczęśliwszy ten, który to w porę zrozumiał.

XIX. Społeczeństwo.

W. E. Griffis twierdzi, że naród korejski powstał ze zlewu plemion nadamurskich z emigrantami chińskimi. [2]) Hulbert dowodzi, że południowo-korejskie plemiona były pochodzenia malajskiego. Badania językowe wykazały, że mowa korejska należy do języków południowo-korejskich, jest pokrewna narzeczom drawidaskim. [3]) Zawiera ona mnóstwo wyrazów i zwrotów chińskich, posiada prócz tego wyrazy tunguskie, mandżurskie, mongolskie nawet fińskie a w południowej Korei — japońskie. Większa lub mniejsza domieszka tych wyrazów oraz odmienna cokolwiek wymowa tworzą kilka gwar, nie tak jednak różnych, aby utrudniały porozumienie się ludności rozmaitych okolic. Antropometryczne badania Korejczyków zostały zapoczątkowane przez lekarzy japońskich, lecz są jeszcze zbyt nieliczne, aby mogły określić ich pokrewieństwo rasowe oraz zróżniczkować ludność półwyspu. Sami Korejczycy zachowali po dziś dzień pewne poczucie odrębności pochodzenia w tych grupach, które niegdyś tworzyły państwa samodzielne. Ciekawe są charakterystyki, jakie sami sobie dają. Mieszkańcy Korei północnej (niegdyś państwo Ko-gu-rie) oraz wschodniego wybrzeża (prow. Kan-uon-do, niegdyś państwo Bochaj) są uważani za ludzi zdolnych, śmiałych, ale obdarzonych duchem niespokojnym, burzliwym, skłonnym do buntów i nieposłuszeństw; mają opinię tajnych wrogów dynastyi, obecnie panującej. Mieszkańcy prowincyi Choan-ho-do słyną z umysłu ograniczonego, ciężkiego; stołecznej prowincyi Kion-gyj-do mają być lekkomyślni, próżni i miłujący zabawy; w prow. Cziolla-do (niegdyś państwo Pakcżie) uchodzą za przewrotnych, bezczelnych i nieuczciwych, za byle co gotowych sprzedać i zdradzić każdego; najgorszą opinię mają mieszkańcy Quelpartu, który dotychczas służy za miejsce wygnania, uchodzą oni za gwałtowników i rozpustników. — Za najlepszych uważani są mieszkańcy prow. Kiön-sań-do (niegdyś państwo Sil-la) z usposobienia spokojni, oszczędni, czciciele starych obyczajów, miłośnicy nauki i sztuki.

Na ogół, choć Korejczycy mają mniej wyrobienia obyczajowego od Japończyków i mniej poloru od Chińczyków, przewyższają o wiele łagodnością i towarzyskością Europejczyków. Panowanie nad sobą i wyrozumiałość są uważane za przymioty szczególnej pożądane; za to ciągły ucisk i srogie prześladowania zepchnęły na miejsce podrzędne prawdomówność, uczciwość i sumienność. — Nawet pobieżna znajomość życia korejskiego przekonywa, że tu ludzie, obdarzeni temi cnotami, skazani są na zagładę lub przynajmniej na ciężkie życie.

Od niepamiętnych czasów istniał wśród narodu korejskiego podział na stany. O pochodzeniu ich pierwotnem wiadomo bardzo mało. W. E. Griffis mówi, że w północnej Korei w pań. Ko-gu-rio między I i VII w. (po Nar. Chr.) istniały trzy stany: szlachta, jej wolni wasale i niewolnicy. Ten podział rozpowszechnił się z czasem w całej Korei, został zmieniony i rozwinięty z zastosowaniem do nowych potrzeb i nowych warunków rządzenia.

W roku wydania edyktu, znoszącego stany (1894 r.) było ich w Korei *pięć*: 1) szlachta rodowa, 2) szlachta drobna (prowincyonalna), 3) stan średni, 4) chłopi, 5) niewolnicy. Ale kazdy z tych stanów, zgodnie z prawem upodobnienia, naśladując ogólną budowę państwa, rozpadał się z kolei na poddziały o rozmaitych prawach i obowiązkach.

Niewolnicy (kuan-no) mieli powstać z jeńców wojennych. Rozróżniano następnie niewolników *z urodzenia* (cziön-i) i *z wypadku* (pan-bi). Do ostatnich należeli ludzie, którzy się sami zaprzedali w niewolę, zostali sprzedani przez rodziców, albo utracili wolność mocą wyroku sądowego za winę własną lub blizkich krewnych, wreszcie podrzutki, wychowani przez ludzi zamożnych, jako osoby, których wolności nie można było dowieść. Potomstwo niewolników z wypadku korzystało już z wolności, i oni sami mogli wykupić się, kiedy chcieli, nawet wbrew woli swego pana, za pewną, prawem określoną sumę, nieprzenoszącą zwykle 300 rubli [1]). Z prawa wykupu nie korzystali jedynie *niewolnicy z wyroku* (koań-gi). Większość ich były to żony i córki przestępców politycznych lub wielkich zbrodniarzy, ukaranych śmiercią, wreszcie kobiety obwinione o cudzołóstwo, kradzież, zabójstwo albo obrazę wyższego urzędnika. Mężczyzn niewolników z wyroku było bardzo mało, gdyż za poważniejsze przestępstwa skazywano ich zwykle na śmierć, a za mniejsze — na wygnanie; na wygnanie również skazywano krewniaków zbrodniarzy, podczas gdy kobiety dostawały się do niewoli i były odsyłane do biur rozmaitych stołecznych i prowincyonalnych, jako służące i nałożnice niższych urzędników, oficerów, żołnierzy lub sprzedawano je osobom prywatnym. Dobrowolnie zaprzedawały się w niewolę również zazwyczaj kobiety; zwano je „dza-ma." Niewolnice uzyskiwały wolność przez wyjście za mąż za ludzi wolnych [1]), ale na zamążpójście musiały dostać pozwolenie od swego pana.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

Zasobność chińska.

podług A. Ulara.

Zwolennikom wyższości rasy białej będzie się wydawać prawdopodobnie trudnem do uwierzenia, że Chińczycy posiadają najdoskonalszy w świecie ustrój społeczno-ekonomiczny. Nasza zupełna nieznajomość tego ludu, jego języka, pisma, literatury, urządzeń wewnętrznych pomogły w najwyższym stopniu do rozkrzewienia się różnych przesądnych i fantastycznych o nim wyobrażeń, gorliwie rozpowszechnianych od dwóch wieków przez misyonarzy i kupców chrześciańskich. Na podstawie tych fałszywych informacyj ludy Zachodu uwierzyły, że ten najbogatszy w świecie naród zagraża im wskutek swego ubóstwa, i że będzie można posłużyć się nim dla wyzyskania wielkich zasobów jego kraju na korzyść bogatego najeźdzcy. A więc stosunki tak się ułożyły, że Chińczycy stali się niebezpiecznymi dla Zachodu wskutek swego ubóstwa, a Zachód dla Chin wskutek swego bogactwa.

Tymczasem rzeczywiste niebezpieczeństwo tkwi w czem innem: jest niem mianowicie nieunikniony, choć powolnie postępujący zabór ekonomiczny, wynikający nie z ubóstwa, lecz z instynktu, prącego do zawładnięcia wszelką siłą.

Kapitał jest narzędziem tego sportu ekonomicznego — materyalnem pod postacią gotówki, — moralnem jako kredyt. Narzędzie to zaś Chińczycy udoskonalili do najwyższego stopnia i posługują się niem zręcznie, śmiało i z nadzwyczajną precyzyą.

Zasobność chińska nie ma najmniejszego podobieństwa z kapitałami europejskimi, choć zewnętrzne jej objawy są często takie same. Nierzadko daje się tu widzieć ludzi, żyjących na sposób bogaczów europejskich; lecz bardzo rzadko, wyjąwszy urzędników, są oni właścicielami tych bogactw.

Społeczeństwo chińskie, pod względem ekonomicznym, rozpada się na dwa różne działy: klasę produkującą i pasorzytniczą, tj. urzędników, pobierających nędzne pensye, uzupełniane opłatami, ściąganemi bezpośrednio z obywateli, potrzebujących ich usług. System ten nazwano niesłusznie korupcyjnym. W zasadzie nie ma on nic wspólnego z naszymi ustrojami politycznymi. Państwo chińskie bowiem przedstawia się, jako zlepek małych organizacyj, najzupełniej autonomicznych, w których urzędnicy nie są przedstawicielami wyższej władzy rzeczywistej, lecz tylko poprostu urzędowymi pośrednikami pomiędzy obywatelami; są oni agentami na giełdzie życia chińskiego, którzy mają prawo dowynagrodzenia za swoje faktorstwo. Ceną jego są zwykle wartości realne w postaci sztabek srebra, materyi i przedmiotów kosztownych, które spoczywają nagromadzone w jakimś składzie i najczęściej nieużytkowane przez cały okres czynności urzędniczej ich właściciela; moralne zaś wartości, tj. kredyt, będący podstawą zamożności klasy prodnkującej, niedostępne są dla urzędnika chińskiego.

Tajemnica bogactw tego ludu da się wyrazić w dwu słowach: zrzeszenie i kredyt. Wszelka produkcya, tak rolna, przemysłowa, jak handlowa prowadzi się drogą zrze-

[1]) Patrz „Opis Korei", część II, str. 286, 288 290.

[2]) „Corea Without and Within," II edition 1885 r. p. 15

[3]) „Korean Repository." 1895, pp. 255-264.

[1]) M. A. Pogio: „Korea" (tłom. niem.), str. 97.

[1]) „Korea Repository," 1895, str. 370—372.

szenia współdzielczego. Kapitału, to jest środków produkcyi, dostarczają członkowie, którzy wszyscy wspólnie pracują i wszyscy w korzyściach udział mają.

Urzędnicy stowarzyszenia są bowiem jego członkami, a więc pracują dla siebie, nie dla jakiegoś chlebodawcy. Są właścicielami, nie najemnikami, związanymi wspólnością celu, wspólnością korzyści, niepozwalającej na świadomie egoistyczne działanie jednostki wbrew interesom zrzeszenia. Istotnem źródłem tego łącznika jest poczucie solidarności, nawskroś przenikające społeczeństwo chińskie. Bogactwo chińskie stanowi właściwie tylko kredyt zsolidaryzowanych stowarzyszeń, którym wybrany przedstawiciel zarządza swobodnie w imieniu reszty członków, niby swoją własnością osobistą.

Instynkt gromadzki, niezmiernie silnie rozwinięty u Chińczyków, nie jest dostatecznem objaśnieniem tego objawu poddania się nakazowi moralnemu w sprawach, w których my, ludy Zachodu, zabezpieczamy się zazwyczaj kodeksem prawnym. Solidarność chińska jest wynikiem wielowiekowego rozwoju warunków materyalnych wymiany, dokonywającej się na zasadach indywidualistycznych. Gdy nam władze nakazują uznać, jako wartości stałe, pewne kawałki metalu lub papieru urzędowego, Chińczyk takiemu przymusowi poddać się nie chce; dla niego rzeczywistą wartość ma tylko produkt pracy, którego równoważnikiem nie może być żaden przedmiot określony, lecz tylko zaświadczenie publiczne, że ten a ten jest wytwórcą jakiegoś przedmiotu, a wskutek tego ma prawo do innych, równej z wyprodukowanym przez niego wartości. Jednem słowem, równoważnikiem produktu jest kredyt, on zastępuje kapitał, jednostką monetarną zaś — słowo. Zobowiązanie słowne jest tu zwykłą formą wymiany. Za dowód pracy otrzymuje się wszystko, czego potrzeba; nabywca, jako członek stowarzyszenia korzysta zazwyczaj z kredytu firmy, której jest pracownikiem; co nabywa, jest rzeczą obojętną. Wobec tego pieniądz wartości określonej jest już zupełnie niepotrzebny. Zamiast niego kredyt, słowo, podpis, zaufanie — wartości moralne, które przy wymianie nie tracą nic na swej wadze, odgrywają rolę naszych biletów bankowych, wypuszczanych przez rząd lub przez niego gwarantowanych.

Dla każdego tedy jedynym kapitałem niezbędnym są te wartości względne: ocena jego zdolności do pracy i praw do zaufania publicznego. Nic więcej nad to posiadać nie potrzebuje, gdy tego nie ma — nic nie ma. Jeśli nie dotrzymuje swoich zobowiązań moralnych, traci zaufanie i kredyt, a po za temi granicami niema już prawie dla niego egzystencyi ekonomicznej — raz z nich wypadłszy, wyjątkowo tylko powrócić do niej może.

Jest więc pewien przymus materyalny w zachowaniu solidarności gospodarczej, który z biegiem czasu przestał być widoczny, przeistaczając się w nakaz moralny. Pod jego to wpływem dokonywa się wszelka wymiana, nawet pomiędzy osobnikami, nieposiadającymi żadnego innego łącznika między sobą. Jego znaczenie zaś wzrasta stokrotnie w obrębie stosunków stowarzyszeń współdzielczych, gdzie całe życie ekonomiczne członków jest zsolidaryzowane.

Zużytkowanie energii czynnej pojedynczego osobnika podlega różnym niepewnościom, związanym z naturą ludzką, w rodzaju np. choroby lub śmierci przedwczesnej. Zrealizowanie energii czynnej licznego zbiorowiska osobników tego ryzyka już nie przedstawia. Każdy też z jego członków jest zupełnie zabezpieczony od przeciwności losu, zagrażających jednostce osamotnionej. Łatwo więc zrozumieć, z jaką nieuniknioną koniecznością narzuca się zrzeszenie w tych stosunkach, gdzie o wartości człowieka stanowi nie to, co on posiada, lecz uzdolnienie, jakiem rozporządza.

Stowarzyszenie współdzielcze w Chinach zapewnia każdemu ze swych członków sprawiedliwe zużytkowanie jego zdolności; takiemu, który u nas byłby tylko zwykłym proletaryuszem, daje stanowisko współwłaściciela, w połączeniu z możnością korzystnego wyzyskania swego kapitału uzdolnień, i otwiera mu widoki wzniesienia się własnemi siłami na najwyższy szczebel w hierarchii ekonomicznej.

Wstępując do stowarzyszenia, wnosi on tu tylko swój kredyt moralny i pracę; początkowo z jego udziału w korzyściach potrącają mu cenę jego utrzymania od pierwszej chwili na korzyść towarzystwa. Z czasem jednak z tych udziałów wytwarza się kapitał w kredycie, który daje pełne prawa rzeczywistego członka. Wielkość udziału, przyznanego jednemu członkowi zależy od stopnia użyteczności tego członka w stowarzyszeniu—o tem zaś jedynie i wyłącznie decyduje to, co on robi, nigdy co wniósł lub posiada. Na tej zasadzie najwyższe stanowiska administracyjne w stowarzyszeniach współdzielczych dostają się, bez względu na pochodzenie, tym, którzy w sprawach ekonomicznych największe wykazują uzdolnienie. Oni rządzą i dysponują wszystkiemi siłami towarzystwa, dającemi się określić na setki milionów w kredycie.

Prawie wszystkie chińskie domy handlowe, znane Europejczykom, są takiemi kooperatywami. Osobistości, zarządzające nimi, uchodzą w naszych oczach, nieświadomych istotnego stanu rzeczy, za niezwykle bogatych i zręcznych kapitalistów. A całe to bogactwo jest tylko kredytem, opartym na wytwórczości pracy zbiorowej jednostek, związanych w jedno ciało, zostające pod zarządem kilku jego członków. Ci ostatni dysponują powierzonymi im potężnymi środkami produkcyi częstokroć co prawda w sposób nadzwyczaj śmiały, który w Europie dałoby się już może podciągnąć pod kodeks karny, lecz nie mają w tem oni żadnych osobistych korzyści lub względów i posiadają w istocie tyle tylko władzy, ile im jej przyznać zechcą stowarzyszeni, ufający ich zdolnościom, uczciwości i zręczności. Są to zawsze w istocie ludzie niepospolitej energii, nieskazitelnej prawości i niezwykłej intuicyi. Zadanie swe traktują jak kapłaństwo, poświęcają mu wszystkie swe siły i żyją marzeniem jak najdalszego rozpostarcia swych wpływów.

Tam, gdzie nie napotykają oporu, zawiązują trust. Rolnictwo chińskie od wieków zorganizowało się już w tej formie. Każda wieś przedstawia się tu, jako kooperatywa pod zarządem tryumwiratu wybieralnego; rozumnie urządzony podział pracy zapewnia ludności niezależność indywidualną wraz z korzyściami życia stowarzyszonego.

W przemyśle, jak w handlu, ujawnia się to samo dążenie trustowe. Nie należy jednak zapominać, że te związki nie zawiązują się tu, jak w Ameryce, z kilku bogaczów, działających wyłącznie dla własnego zysku, lecz z wielkiej ilości stowarzyszonych, pracujących na korzyść trustu i żyjących z jego dochodów.

Dopóki te olbrzymie organizacye ekonomiczne ograniczały się w działaniu swojem do granic państwa chińskiego, dopóty nie groziło żadne od nich niebezpieczeństwo. Dziś jednak już się w nich zbudziło poczucie siły oraz nastąpiło uświadomienie sobie swych słabości. Zapragnęły one posiąść technikę europejską i niezawodnie celu dopną, a wówczas, sądząc z tego, co zrobiły tam, gdzie już osiedlić się zdołały, dla gospodarstwa białych ciężkie nastąpią czasy — wybije godzina walki pomiędzy kapitalizmem zachodnim a chińskim ustrojem stowarzyszeniowym.

Jedno z takich olbrzymich towarzystw, Złoty Smok, który posiada ogromne plantacye herbaty i ryżu w głębi Chin, setki dżonek na morzu i rzekach, kantory bankowe we wszystkich większych miastach, swoją własną pocztę, przędzalnie jedwabiu i bawełny, warsztaty przerabiające drzewo i metal, handel eksportowy i importowy nietylko w kraju, lecz i za granicą, powziąwszy myśl zaznajomienia się z fizyką i chemią współczesną, wysłało w tym celę swych emisaryuszów-członków do Rosyi, Francyi, Anglii, Ameryki. Tam oni, gdzie się tylko udało, postarali się wyprzeć siły miejscowe. I tak, towarzystwo to w Singapour np. owładnęło już wyrobem konserwów z ananasów; w Rydze dąży do takiegoż zmonopolizowania w swych rękach konserwów z ryb; w Petersburgu posiada już najlepszy zakład fotograficzny; w Moskwie zmierza do zagarnięcia całego handlu herbatą; w kraju Zabajkalskim wzięło się do uprawy kalafiorów; w Kalifornii hoduje dynie i winogrona; w Paryżu prowadzi wyrób wytworów farmaceutycznych. Te rozległe i różnorodne czynności, które zatrudniają około stu tysięcy osób, tak są prowadzone, że tylko świadomi rzeczy widzą łączące je nici wspólności, gdyż tam, gdzie obecność Chińczyków okazała się niemożliwą, towarzystwo posługuje się Europejczykami.

Tym więc, którzy zrozumieją następstwa tego niebezpieczeństwa żółtego, grożącego pozbawieniem nas wielkich dywidend i pensyj, możnaby tylko dać dziś jedną radę, mianowicie: przyjęcia obywatelstwa chińskiego i przyłączenia się do którejkolwiek z tych wielkich gromad współdzielczych, gdyż tym sposobem tylko uda im się uniknąć przykrości walki i wyjść z niej cało.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

Wybory w okręgu pszczyńsko-rybnickim. — Przeciwko Korfantemu. — Hohensalza.

Na Górnym Śląsku (w okr. pszczyńsko-rybnickim) wskutek śmierci posła do sejmu pruskiego, Moritza, odbędą się nowe wybory d. 6 października. Wszystkie stronnictwa rozwijają energiczną działalność w celu przeprowadzenia własnego kandydata. Ponieważ wybory do sejmu pruskiego odbywają się na podstawie osławionego systemu trzyklasowego, przeto nie może być mowy o przeprowadzeniu kandydata szczerze ludowego. Walka będzie toczyła się pomiędzy centrowcem, kandydatem „Polskiego Komitetu wyborczego“ a konserwatystą. Jeszcze gdyby „Polski Komitet wyborczy“ wysunął kandydaturę radykalną, np. p. Kowalczyka, na co się zanosiło przez pewien czas, wynik wyborów mógłby być ciekawy. Tak zaś, jak rzeczy stoją obecnie, rezultat ich jest dość obojętny. Ciekawe są natomiast fakty, poprzedzające wybór i warto się nad nimi zastanowić, jako nad przyczynkiem charakterystycznym do historyi stronnictw polskich na Górnym Śląsku.

Czytelnikom *Prawdy* wiadomo, że wyrwanie (w zasadzie) Górnego Śląska z pod hegemonii centrum katolickiego stało się faktem dokonanym. Demokraci narodowi z *Górnoślązaka*, p. Siemianowski z *Głosu Polskiego* i *Katolik* z p. Napieralskim zgodzili się na utworzenie samodzielnego, polskiego ciała wyborczego dla Górnego Śląska. Powstał więc „Polski Komitet wyborczy dla Śląska,“ złożony z przedstawicieli obu kierunków — *Katolika* i *Górno-*

ślązaka. Ciało to na równi z innymi prowincyonalnymi komitetami wyborczymi jest uzależnione od „Polskiego, Centralnego Komitetu wyborczego“ na całe Niemcy. Wybory w pszczyńsko-rybnickiem będą pierwszymi, odbywającymi się za czasów funkcyonowania tej instytucyi— i dlatego z powszechnem zaciekawieniem oczekiwano ogłoszenia ich. Wysunięto kandydaturę księdza Antoniego Pendziałka, jednego z owych dwóch księży na Górnym Śląsku, którzy mieli odwagę przyłączyć się do Komitetu polskiego i tem otwarcie wobec centrum zamanifestować współczucie z emancypacyjnym ruchem ludu górnośląskiego.

Kandydatura ks. Pendziałka została ogłoszona i organy prasy polskiej rozpoczęły agitacyę za nim. Wyjątek znowu stanowił *Katolik*. P. Napieralski swoim zwyczajem działał z wyrafinowaną obłudą. Zwalczał on wymownie kandydaturę Rzesnitzka, ale przeciwko kontrkandydatowi ks. Pendziałka — centrowcowi, ks. Stephanowi nie występował, ani też za ks. Pendziałkiem wyraźnie nie przemawiał. Czytelnicy więc *Katolika* mogli przyjść do przekonania, że wymaga się od nich jedynie niegłosowania za Rzesnitzkiem i dawać głos tak dobrze za ks. Pendziałkiem, jak i za ks. Stephanem. Tymczasem ks. Stephan, to jeden z najniebezpieczniejszych wrogów Polaków. Jest on redaktorem antipolskiej i germanizatorskiej *Gazety Katolickiej*, usiłującej utrzymać lud polski na Górnym Śląsku w wierności dla centrum. Dopiero przyparty do muru *Katolik* oświadczył półgębkiem, że i on jest za ks. Pendziałkiem, ale przeciwko ks. Stephanowi nie wystąpił. Stosunki zmusiły p. Napieralskiego do ustępstw na rzecz żywiołowej ewolucyi narodowej Górnego Śląska, ale pomimo to nie przestał on być w głębi duszy wiernym sługą centrum, nawet tam, gdzie interesy wyznaniowe, najbardziej go jako klerykała obchodzące, wcale na szwank nie są narażone.

Stanowisko p. Napieralskiego i *Katolika* nie było niespodzianką. Prawdziwą niespodziankę natomiast zgotował wszystkim sam ks. Pendziałek. Ogłoszenie jego kandydatury przez polskie władze wyborcze wywołało szalone ataki organów centrowych, zwłaszcza mniejszych. Na księdza kandydata wywarto nacisk z góry — i ks. Pendziałek uroczyście zrzekł się kandydatury. Uczynił to nie przez złożenie rezygnacyi na ręce „Polskiego Komitetu wyborczego,“ lecz za pośrednictwem niemieckiego organu centrowego *Schlesische Volkszeitung*. Wywołało to powszechną konsternacyę w obozie polskim. Dopiero teraz zrozumiano, jak niefortunnym i niemądrym był oportunizm, nakazujący koniecznie popierać kandydaturę księdza, ażeby z jednej strony uchronić się od zarzutu zwalczania go, a z drugiej zmusić *Katolika* do solidarności. I jedno i drugie zawiodło, a do tego przyłączyła się jeszcze kompromitacya. Minęło kilka dni i ks. Pendziałek, namyśliwszy się (niewiadomo czy ostatecznie), oświadczył, że kandydaturę przyjmie. Centrowcy jednak wyzyskali już chwiejność niefortunnego kandydata i ogłosili wyborcom, że ks. Pendziałek stanowczo nie ma zamiaru przyjęcia kandydatury. Jest to manewr wyborczy bardzo skuteczny, skoro chodzi o rozstrzelenie głosów.

Juz to G. Śląsk niema szczęścia oni do kandydatów, ani do posłów. Świeżo wiec ludowy w Katowicach zajmował się osobą posła Korfantego i jego mowami. Referował p. Fr. Trąbalski na temat położenia robotników rolnych. Mówca poświęcił uwagę smutnym warunkom pracy robotników rolnych w majątkach Poznańskiego i Prus Zachodnich. Piętnował wymownie takie fakty, jak batożenie dziewczyn i robotników przez ekonomów i włodarzy, co do dnia dzisiejszego jest jeszcze na porządku dziennym. Następnie p. Trąbalski przeszedł do charakterystyki zachowania się p. Korfantego i Koła polskiego, do którego Korfanty należy. W odezwach przedwyborczych poseł ten obiecywał, że będzie się starał o uchwalenie renty na starość od 55 roku życia, gdy go zaś wybrano, podpisał w parlamencie wniosek, udzielenia tej renty dopiero od 66 roku życia. W ostatnich czasach w sejmie pruskim dwukrotnie omawiano kwestyę pogorszenia praw robotników rolnych, a Koło polskie milczało. Przed wyborami Korfanty obiecał starać się o większy dowóz mięsa przez granicę, kiedy zaś sprawa ta była omawiana w komisyi, Korfanty wcale się tam nie pokazał. Wogóle ani razu nie był na posiedzeniach komisyi petycyjnej, choć tu szło o sprawy, bardzo blizko dotyczące jego wyborców. W końcu p. Trąbalski omówił postulaty stronnictwa, do któregc należy i zawezwał obecnych do działania w tym duchu, wyrażając przekonanie, że jak w przeszłym roku przy wyborach tłumy wołały: „Precz z Letochą!“ tak do przyszłych wyborów ruszą z hasłem „Precz z Korfantym!“ Burza oklasków była odpowiedzią na te słowa. W dyskusyi zabierali głos pp. Dylong, Haase, dr. Golde, Danisz i inni, a wszyscy wytykali obłudę posła Korfantego.

Chrzczenie odwiecznie polskich nazw wsi, majątków i małych miasteczek nowoukutemi imionami niemieckiemi jest jedną z tych niezliczonych szykan, któremi hakatyści kłują ludność polską. Obecnie zabrano się do zmiany nazwy jednego ze znaczniejszych miast Poznańskiego — Inowrocławia. Magistrat wystąpił początkowo z wnioskiem, aby Inowrocław przezwać Jung-Leslau, ale ta nazwa wydała się zapaleńcom germańskim zbyt z polska brzmiącą, zaproponowali więc zamiast niej nazwę Hohensalza. Jakkolwiek pobudką do zmiany nazwy była chęć poniżenia Polaków, to jednak na posiedzeniu rady miejskiej obłudnie przytaczano inne powody. Charakterystyczne, że większość mówców, domagających się zmiany nazwy, zapewniała, iż po usunięciu dotychczasowej miasto podniesie się ekonomicznie, albowiem nazwa „Inowrocław“ wywołuje kpiny. Istotnie „Inowrocław“ figuruje w przeróżnych tinglowych kupletach berlińskich, jako coś humorystycznego. Pochodzenie z Inowrocławia oznacza w Niemczech mniej więcej to samo, co w Austryi pochodzenia z Tarnopola, gdyż i w jednym i drugim wypadku drwiny mają charakter antisemicki: Jakiś radny znowuż motywował konieczność zmiany nazwy Inowrocławia tem, że pewien telegrafista w Düsseldorfie nie wiedział, gdzie się takie miasto znajduje i chciał nawet wysłać telegram do Rosyi. Tylko drobna część radnych miała śmiałość powiedzenia o co im idzie. Mówili oni: Poznańskie jest krajem niemieckim, Inowrocław jest miastem Poznańskiego, a więc powinien mieć nazwę niemiecką. To przynajmniej jest logiczne!

Pośrednik.

Listy z Francyi.

Paryż, 20 września.

Organizacya marynarzy francuskich i robotników portowych. — Ich zatargi z przedsiebiorcami. — Obecny zatarg w Marsylii.

Ktokolwiek poważniej studyował ruch robotniczy we Francyi, ten musiał zauważyć, że od lat czterech w południowych miastach portowych wre on w całej pełni, że wciąż zachodzą tu nowe zatargi między pracodawcami a robotnikami.

Prasa reakcyjna wylewa z tego powodu łzy krokodyle nad mniemanym upadkiem Marsylii a wzrostem cudzoziemskiego portu Genuy. Rozgoryczeni nacyonaliści utrzymują, że dni jej już są policzone i tylko rząd energiczny z całym arsenałem surowych środków mógłby ją uratować od niechybnej śmierci.

Jednak bezstronne rozpatrzenie statystycznych danych, tyczących się rozwoju Marsylii, dowodzi jasno, że łzy francuskich pseudopatryotów nie są szczere i że świadomie przekręcają oni fakty, aby okłamywać opinię publiczną.

Jak eksport, tak import towarów oraz liczba pasażerów wciąż wzrasta w Marsylii, a od 1874 r. potroiła się. Nawet w roku ubiegłym, kiedy zatargi przybrały większe, niż zwykle rozmiary, ruch pasażerów podniósł się o 11,944, przewóz bydła o 338,631 sztuk, a towarów o 751,107 ton. W porcie marsylskim w 1903 r. w porównaniu z rokiem poprzednim było więcej o 205 okrętów francuskich, a cudzoziemskich aż o 491. Genua jest stosunkowo portem młodym w epoce rozwoju, a Marsylia ma już epokę rozkwitu, nie wstępuje jednak w okres uwiądu starczego.

Niemniej przecie niema dziś w Marsylii tego błogiego spokoju, jaki panował przed laty. Stronnictwa polityczne zażarcie walczą z sobą, harmonia między klasami społecznemi bezpowrotnie znikła, robotnicy portowi i marynarze usposobieni są coraz bardziej wrogo do swych przedsiebiorców. Znakomita większość pracowników marsylskich należy obecnie albo do Związku marynarzy, albo do Związku syndykatów robotników portowych i dokowych oraz pokrewnych im fachów. Ostatni związek, liczący w samej Marsylii przeszło 12,000 robotników, dzieli się na 15 sekcyj: robotników w dokach, tragarzy, woźniców, węglarzy, malarzy okrętowych itp.

Właściwi marynarze francuscy stanowią niemal oddzielną, zupełnie odrębną kastę, nieznaną w innych krajach. Już oddawna, bo jeszcze w XVII wieku, musieli oni służyć na każde zawołanie w marynarce królewskiej. Edykt z 1669 r. wyraźnie zabrania marynarzom służby na obczyźnie pod groźą konfiskaty ich osoby i mienia, skazuje na karę śmierci tych, którzy zapominają o tem, „co są dłużni swemu urodzeniu i swej ojczyznie.“ Wzamian za to od dwóch przeszło wieków mają oni monopol rybołówstwa i żeglugi, oraz posiadają odrębne instytucye, a zwłaszcza kasę dla marynarzy inwalidów — najstarsze i najbogatsze ze wszystkich towarzystwo wzajemnej pomocy.

Dopiero w końcu 1896 r. na miejsce dawnych, rozrzuconych dekretów wydano prawo szczegółowe, tyczące się marynarzy, znane pod nazwą „Loi sur l'inscription maritime.“ Na zasadzie tego prawa wszyscy Francuzi, zajmujący się żeglugą z profesyi, zapisani są w księgach specyalnych, które pozostają w biurach rządowych komisarzy portowych. Zaregestrowani tak marynarze „inscrits martimes“ dzielą się na trzy kategorye.

Do pierwszej „inscrits provisoires,“ począwszy od lat 10, należą dzieci, które chcą objąć karyerę marynarzy. Po latach ośmnastu, jeśli odbyli w epoce od 10 do 18 lat ogółem ośmnaście miesięcy zwykłej żeglugi morskiej albo rok długiej wyprawy, prowizoryczni marynarze zapisani są ostatecznie, jako „définitifs.“

Marynarze z drugiej kategoryi „définitifs“ są obowiązani w ciągu lat siedmiu do służby rządowej, która właściwie trwa tylko pięć, gdyż przez dwa ostatnie lata należą oni do rezerwy i są powoływani na ćwiczenia raz w rok, na cztery tygodnie. Członkowie rodzin, niezbędni dla ich utrzymania, po roku mają być uwolnieni z morskiej służby wojskowej.

Trzecią kategoryę stanowią marynarze, niekwalifikujący się do służby państwowej „hors de service,“ starsi nad 50 lat albo poprzednio reformowani.

Wszyscy marynarze francuscy na podobieństwo żołnierzy rezerwistów obowiązani są zawsze zawiadamiać komisarzy rządowych o miejscu swego zamieszkania. Nie mają też oni prawa bez pozwolenia ministra marynarki zaciągać się do załogi cudzoziemskiej, nawet handlowej.

Co zaś do ich przywilejów, to prawo z 1896 r. wyraźnie je określa.

1) Marynarze uwolnieni są od wszelkiego patentu, za który we wszystkich gałęziach pracy płaci się we Francyi nieraz sporą sumę.

2) Uwolnieni są również od wszelkiej służby publicznej, z wyjątkiem marynarki wojskowej.

3) Zawód marynarzy jest pod opieką państwową i zabezpieczony przeciw konkurencyi cudzoziemców.

4) Rybołówstwo i wogóle eksploatacya bogactw morskich wyłącznie dla nich zachowane.

5) Starzy i niezdolni do pracy marynarze, wdowy i ich dzieci otrzymują z Kasy inwalidów pensye i zapomogi. Budżet na rok 1905 przewiduje jako dochód: 1,900,000 franków z miesięcznych wkładek trzyfrankowych, 3,149,816 fr. z procentów i rent oraz 12,050,000 fr. subwencyi państwowej.

6) Ministeryum marynarki daje bezpłatne wykształcenie synom marynarzy w szkołach hydrograficznych w celu uzyskania stopnia oficera i kapitana marynarki.

7) Istnieje też instytucya p. n. „Etablissement des pupilles de la marine,“ przeznaczona dla wychowania i kształcenia dzieci marynarzy.

8) Państwo darmo odstawia do rodzinnej ziemi marynarzy, pozostawionych na obczyznie albo też daje im pieniądze na podróż (viaticum) powrotną do stałego miejsca zamieszkania.

Pomimo przywilejów, jakie daje państwo marynarzom francuskim, pomimo zaregestrowania ich na całe życie, jako „inscrit maritimes“ — rząd uważa ich w czasie pokoju po odbyciu służby wojskowej za niezależnych ludzi wolnych, którzy mogą swobodnie bądź zajmować się rybołówstwem, handlem lub rzemiosłem, bądź zaciągać się na służbę do marynarki handlowej.

Inaczej jednak uważają marynarzy pracodawcy. Według nich za przywileje, jakie daje państwo, oni mają prawo wyzyskiwać i być panami życia i śmierci dobrodusznych i potulnych marynarzy. Do dziś dnia fałszywie interpretują oni prawo, jakoby marynarze z chwilą zerwania kontraktu i opuszczenia okrętu handlowego powini być uważani za dezerterów wojskowych. Całkiem też bezzasadnie i niesłusznie kapitanowie statków handlowych uzurpują sobie nad nimi wszechwładne prawo, stosują niemal kodeks wojenny, brutalnie i bez litości obchodzą się z majtkami, za najmniejsze uchybienie w służbie nakładają kary drakońskie.

Już sam sposób najmowania do służby okrętowej jest poniżającym dla godności człowieka i źródłem strasznego wyzysku pracowników. Bardzo rzadko, a zawsze nader niechętnie zwracają się kapitanowie statków o załogę do związków zawodowych. Rzadko także udają się do tak zwanych „Maisons des marins“ — pensyonatów, założonych w portach przez Izby handlowe i popieranych przez filantropów. W domach tych za skromną zapłatę (od 1 fr. 50 c. do 2 fr. dziennie) mają marynarze mieszkanie i życie w ciągu dwudziestu dni, aż do znalezienia pracy. Na nieszczęście noszą one charakter instytucyj filantropijnych i są zwykle w zależności od pracodawców. Najczęściej i najchętniej właściciel okrętu, a właściwie jego przedstawiciel kapitan zwraca się o dostarczenie załogi do pośrednika, jakby do naszego faktora, t. zw. „marchand d'hommes.“ Taki pan, w którego kieszeni nieraz siedzi i kapitan, ma ludzi do najęcia zawsze podostatkiem, a od każdego za wyszukanie służby na okręcie bierze porękawiczne. Od majtka np. bierze od 5 do 15 fr., zależnie od popytu na towar. Nietylko pracę stręczy „marchand d'hommes,“ ale sprzedaje ubranie, handluje dziewczętami itd. Wierzyć się nie chce, że w XX wieku, w rzeczypospolitej francuskiej, w wielkiem mieście Marsylii, opinia publiczna może tolerować takich stręczycieli...

Płaca za służbę na okręcie do 1900 r. była tak nizką, że marynarze po wylądowaniu musieli wkrótce zadłużać się u szynkarzy i hotelarzy, a potem czemprędzej za lada marną zapłatę siadać na okręt. Długość dnia roboczego zależała od dobrej woli kapitana, a także często i pożywienie, gdyż w mniejszych zwłaszcza towarzystwach okrętowych kapitan za pewną sumę obowiązywał się kompanii żywić całą załogę.

Dola robotników francuskich w portach i dokach południowych miast Francyi do 1900 r. nielepszą była od doli marynarzy, tembardziej, że ci nic posiadali już żadnych przywilejów i że ogromną konkurencyę robili im Włosi i Hiszpanie.

Dopiero jednak po roku 1900 marynarze zdołali otrzymać wiele ulg na mocy kontraktu, podpisanego przez dwie strony sporne. Od tego czasu majtkowie pobierają 80 franków miesięcznie za dwunastogodzinną pracę, a mechanicy okrętowi za ośmiogodzinną — od 110 do 120 franków. Za każdą dodatkową godzinę mieli dostawać od 40 do 50 centimów. Zasadnicze artykuły kontraktu stanowiły bezwarunkowo wielką zdobycz dla robotników i nadługo mogłyby zażegnać nowe burze, gdyby nie było paragrafów dodatkowych a tak zagmatwanych i niejasnych, że po kilku miesiącach pracodawcy doskonale już obchodzili umowę! Na pełnem morzu np. majtkowie po dawnemu mieli ogółem na dobę 5 i pół godziny odpoczynku z dwukrotnemi przerwami, a dzieci od 10 do 18 lat pracowały od 4-ej rano do 8-ej wieczorem.

Z tego też powodu w 1902 r. wybuchł nowy strajk, zorganizowany przez Federacyę marynarzy, do której w samej Marsylii należy przeszło 5,000 członków. Zakończył się w kilka tygodni bez wyraźnej wygranej, ale po formalnej obietnicy ministra marynarki, że czemprędzej przedstawi Izbie projekt reglementacyi pracy marynarzy. Oświadczenie ministra Pelletana nie przeraziło właścili okrętów i kapitanów. Po dawnemu praca przeciągała się do 16—18 godzin na dobę, za dodatkowe godziny bardzo rzadko i bardzo mało płacono, a kapitanowie nie przestawali nadużywać swej władzy i brutalnie obchodzić się ze służbą. Wtedy marynarze „inscrits maritimes,“ coraz świadomsi swego prawa i swej siły, zażądali formalnie, ażeby najmowano do pracy tylko za pośrednictwem syndykatu, na co musiano się zgodzić, a w końcu roku przeszłego zaczęli stanowczo domagać się usunięcia kapitanów, którzy znieważali załogę. W odpowiedzi na to energiczne żądanie kilkakrotnie powtarzane w maju bieżącego roku wybuchł oryginalny strajk oficerów marynarki, naturalnie w porozumieniu z właścicielami okrętów. Po zapewnieniu naprzód ze strony oficerów, że nie mieli zamiaru ubliżać pracownikom, a po drugie marynarzy, że uważają za konieczne pewną karność na okręcie — bezrobocie po kilkunastu dniach ustało, ale zatarg tylko pozornie był przytłumiony.

Marynarze, zniecierpliwieni półtorarocznem oczekiwaniem na złożenie w Izbie projektu o reglementacyi ich pracy, w lipcu r. b. sami wystosowali do najwięcej wyzyskującego towarzystwa „C-ie Transatlantique“ cały szereg żądań, a przedewszystkiem ścisłego stosowania się do artykułów zasadniczych kontraktu z 1900 r. Skoro zaś dyrekcya nie chciała nawet rozpatrywać tych żądań do 23 sierpnia, opuścili okręty towarzystwa transatlantyckiego, wpisując je na indeks. Właściciele okrętów i ich służalcy werkmajstrzy i kapitanowie wszystkich towarzystw okrętowych skorzystali z tej sposobności i zawiesili pracę w Marsylii. Słowem w odpowiedzi na częściowy strajk marynarzy, żądających uregulowania godzin odpoczynku i płacy, pracodawcy urządzili wielką zmowę — lock-out.

Za marynarzami musieli wtedy zastrajkować i robotnicy w porcie i dokach oraz pokrewnych im fachów, jak tragarze, woźnice, węglarze itp.—w kilka dni do 100,000 ludzi w Marsylii było skazanych na bezrobocie. Dokowcy z żalem i obawą opuszczali pracę, gdyż w roku zeszłym wywalczyli sobie ogromne ulgi: kolektywne umowy przy przyjmowaniu robotników, dziewięć godzin pracy, jednostajną płacę 6 fr. dziennie, prawo umieszczania w poszczególnych miejscach pracy swych delegatów itp.

Wszyscy robotnicy — jak marynarze tak i dokowcy — odrazu poznali, że ich pracodawcy urządzili po raz pierwszy tak wielką zmowę, ażeby rozbić i zniszczyć organizacye robotnicze. Więc celem osiągnięcia porozumienia zrobili wszystko i czynią dziś jeszcze, byleby tylko utrzymać w mocy dawne umowy, a przedewszystkiem nie osłabić siły i powagi swych związków zawodowych. Zrezygnowali zatem z ośmiogodzinnego dnia roboczego, zgodzili się na żądaną przez przedsiebiorców swobodę najmu robotników, na usunięcie bojkotu, załatwienie sporów przez sąd rozjemczy. Co więcej, organizacya przystała na złożenie kaucyi 100,000 fr., jako rękojmi dotrzymania umowy.

Im więcej robotnicy marsylscy są skłonni do porozumienia, im łatwiej zgadzają się na ustępstwa, tem uciążliwsze i niemożliwsze dla pracowników stają się wymagania towarzystw okrętowych i przedsiebiorców dokowych. Po trzytygodniowych pertraktacyach przedsiebiorcy dziś nie chcą przyjmować żadnej rękojmi ze strony organizacyi, gdyż to byłoby jej uznaniem. Żądają natomiast od dokowców niby uzupełnienia starych układów dwoma następującymi punktami: zniesienia kolektywnych umów przy przyjmowaniu robotników i usunięcia delegatów syndykalnych. Od marynarzy zaś żądają teraz stanowczo pracy dodatkowej. Chcą, ażeby majtkowie wyładowywali z okrętów towary na ląd, a mechanicy przenosili bagaże pasażerów — spełniali pracę dotychczas wykonywaną przez tragarzy portowych.

W celu złamania organizacyj robotniczych założono w ostatnich tygodniach unię morską „Union maritime“ (na podobieństwo antwerpskiej), obejmującą tak przedsiebiorców, werkmajstrów, jak i robotników. Wpływ przemagający w tej instytucyi mieliby oczywiście przedsiebiorcy, w skład kierującego bowiem komitetu ma wchodzić 15 przedsiebiorców, 5 werkmajstrów i 5 robotników. Unia ma dostarczać pracy członkom i regulować wszelkie kwestye robotnicze. Dla zwabienia robotników zapewnia im minimalny zarobek roczny i szereg urządzeń dobroczynnych. Za silne są jednak francuskie organizacye robotnicze, aby podobna unia mogła je złamać. Upadnie ona lub co najwyżej bedzie wegetować, jak upadają lub wegetują tak zwane żółte i mieszane syndykaty.

Już dziś przedsiebiorcy marsylscy zauważyli, że zbyt ufali w potęgę swej zmowy, a za wiele liczyli na słabość robotników. Obecnie bowiem w Marsylii nie robotnicy, ale sami przedsiebiorcy łamią so-

lidarność i odstępują od lokoutu, zgadzając się na dawne umowy dokowców bez żadnych dodatków. Od kilku dni u mniejszych przedsiebiorców pracuje w dokach po kolei przeszło 1,000 robotników na dawnych, niezmienionych warunkach, a trzecią część swego zarobku oddaje na towarzyszy skazanych na bezrobocie.

Jeszcze większą będzie porażką dla lokoutu, jeśli rząd francuski dotrzyma swych gróźb i skaże na wielkie kary pieniężne towarzystwa okrętowe za niedotrzymanie kontraktu, co do przewożenia poczt oraz otworzy doki na koszt kompanii, której udzielił wyłącznego monopolu.

Dr. Józef Zieliński.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Największe ze znanych dotychczas zbiorowych przedsiewzięć ludzkich — wojna jest nauką nietylko dla wojskowych. W niej bowiem biorą udział wszystkie siły materyalne i duchowe panstwa, ujawniają się wszystkie jego zasoby i uzdolnienia. Jest to straszny, krwawy egzamin. Nie ulega wątpliwości, że w obecnym boju Japonia sprawiła światu bezprzykładną w dziejach niespodziankę. Naród, o którym geografia do niedawna zaledwie ogólnikowo wspominała, jako o „pół dzikim," a podróżnicy wyrażali się lekceważąco, szydząc z jego „wierzchniej polityury i pretensyonalności", naród, w którym najprzyjaźniejsi dlań badacze do ostatnich dni nie odkryli śladów groźnej mocy — wystąpił nagle jako tytan, wyzwawszy do walki najpotężniejsze mocarstwo, które jego przymioty głośno uznaje. Ci Japończycy, których prasa rosyjska po rozpoczęciu wojny lekceważyła, dziś nietylko z ust tej samej prasy, ale nawet osób wysoko stojących słyszą wyrazy pochwały. Naturalnie każdemu nastręcza się pytanie: jakim sposobem naród, do niedawna jeszcze niebrany w rachubę polityczną, zdołał wystawić ogromną armię i flotę? Czy to znaczy, że on od pewnego czasu wyćwiczył sobie parę set tysięcy żołnierzy, zakupił wielką ilość okrętów, dział, pocisków itd., słowem—„przygotował się do wojny"? Nie. Japonia dawna, Japonia z przed 40 laty nie mogłaby się „przygotować do wojny" z Rosyą, jak nie mogły tego uczynić obecne Chiny, lecz Japonia zrobiła ogromny skok naprzód, który jej umożliwił to przedsiewzięcie.

Znany aforyzm, według którego pod Sedanem zwyciężył Francuzów bakałarz niemiecki, zawiera niewątpliwą prawdę. Gdy zrewidowano pierwszy tornister japoński, znaleziono w nim między innymi przedmiotami: mapkę placu boju, kompas, leki, środki opatrunkowe i szczoteczkę do zębów. Odkrycie to było daleko bardziej zadziwiającem, niż wszystkie inne niespodzianki tej wojny. Rzec można, że od tej chwili zaczęto inaczej patrzeć na wojsko japońskie. Nie nowy gatunek prochu, nie nowa forma szrapneli i torped, ale ta z pozoru niewinna zawartość tornistra przekonała wszystkich, że na widownię świata wystąpił zapaśnik silny i groźny. Nie ulega wątpliwości, że technicy wojskowi wyciągną z obecnej wojny wiele pouczających wniosków, co do strategii lub użytku rozmaitych środków niszczących, ale wszystkie te wnioski nie będą posiadały ani tej wagi, ani tej mocy przekonywającej, co jeden najoczywistszy, mianowicie że samo podnoszenie budżetu wojskowego nie zwiększa proporcyonalnie militarnej siły państwa i że znaczna jej część spoczywa w budżecie oświaty. Japonia posunęła się gwałtownie w tym kierunku i dziś już nie ma analfabetów. Z tego punktu otwiera się dalszy widok. Potrzeba rozwoju cywilizacyjnego w tem oświetleniu przedstawia się już nie jako sprawa bogactwa duchowego i dogodzenia wyższym wymaganiom pewnych kół, lecz jako kwestya bytu i bezpieczeństwa ogółu. Narody i państwa z opóźnionym lub uwstecznionym rozwojem narażają swoje istnienie, chociażby nawet w jego obronie uzbroiły się jak najbardziej. Zważyć przytem należy, że jeśli stopień oświaty oddziaływa, jako pierwszorzędny czynnik w walce orężnej, której losy pozornie zależą od specyalnych uzdolnień i środków, to cóż dopiero mówić o tej walce cichej, niewidzialnej, ale nieprzerwanej, jaką toczą państwa i narody w stałych swo ich stosunkach. Tu nie dostrzegamy zwyciężonych i zwycięzców, rannych i poległych, tu nie słyszymy huku dział i jęku konających, bo tu proces starcia odbywa się w formach łagodnych, wyszlifowanych prawem i zwyczajem. Tylko w dużych odstępach czasu widzimy, że jakaś gromada ludzka utuczyła się a inna schudła, że jakaś budowa polityczna zaczyna trzeszczyć i zapadać się — bez wyraźnej przyczyny. A to termity podkopały się pod jej podwaliny.

Trudność uchwycenia przyczynowego związku między oświatą a materyalną siłą społeczeństwa jest głównym powodem zaniedbania uprawy duchowej. A jednaże ten związek jest tak niezawodny i tak ścisły, że dziś zaprzeczać go może tylko odwaga dziecinna lub zidyociała. Niema miar i wag dla oznaczenia wpływu wiedzy na praktyczną sprawność człowieka, ale są niezbite fakty, które go nawet tam stwierdzają, gdzie najmniej się spodziewamy. Tak np. zdawałoby się, że historya, filozofia, socyologia, nie mogą oddziaływać na wydajność rolnictwa, którą natomiast powinnyby zwiększać umiejętności specyalne. Tymczasem statystyka wykazała, że po wprowadzeniu w Danii uniwersytetów ludowych, gdzie wykłady mają charakter ogólnie kształcący, olbrzymio wzrósł wywóz produktów rolnych.

W Europie żyją obok siebie organizacye polityczne o bardzo nierównych stopniach cywilizacyi. Różnice te są zarazem różnicami powodzenia w walce o byt. Zjawisko bardzo proste. Nie wyczerpując wszystkich jego pierwiastków, zatrzymam uwagę czytelników nad jednym. Do najbardziej zasadniczych warunków pracy społecznej należy swoboda łączenia się ludzi w grupy dla osiągnięcia wspólnego celu. Ma ona ogromne znaczenie z tego względu, że związek jest czemś więcej, niż prostą sumą jednostek i że są przedsiewzięcia, które na jednostkowe zadania rozłożyć sie nie dadzą. Jeżeli tedy owa swoboda kojarzenia się w jakiemś społeczeństwie jest bardzo ograniczoną a w innych nieograniczoną, nie może ono wytrzymać z niemi współzawodnictwa i w końcu musi im uledz. Amerykanie znalazłszy miejsce, które im wydaje się odpowiedniem dla nowego ogniska życia zbiorowego, szybko zakładają miasto i organizują się w niem według swych interesów i upodobania. Dziś zawiązują towarzystwo akcyjne, a jutro puszczają je w ruch. Czy możliwym byłby obecny szczebel ich rozwoju, gdyby oni na te niezliczone przedsiewzięcia zbiorowe, któremi jak gromami rażą Europę, musieli zdobywać pozwolenia na długich i krętych drogach? A co to są Niemcy, zajmujący dziś drugie miejsce we współzawodnictwie wszechświatowem? Jest to olbrzymia sieć stowarzyszeń, związków i spółek, wobec których pojedyncze usiłowania Słowian są młotami rozbijającymi pajęczynę. Dania posiadała w 1879 r. 30 stowarzyszeń gminnych, w 1899 miała ich 1145. U nas i w Cesarstwie probowano z nią zmierzyć się w wywozie wieprzowiny i wyrobów mlecznych a rezultat był taki, że na długo uwolnił energicznych Duńczyków od konkurencyi z tej strony. Jeden z nich powiedział: „Zanim wy załatwicie wszystkie formalności i przywieziecie mięso do portu, to będzie ono tylko dla psów przydatne."

Cywilizacya więc jest siłą materyalną, która powoli przestaje już być przedmiotem sporu pomiędzy stronnictwami i zamienia się na pomnik. Państwo nie ma do wyboru w walce o byt — być ciemnem lub oświeconem, jak nie ma do wyboru, czy zaopatrzyć swą armię w łuki czy w karabiny: ono musi ucywilizować się, jak musi uzbroić się należycie, jeśli nie chce zginąć. Obrońcy nieruchomości lub wstecznictwa daremnie odpierają postęp: w pewnej chwili staje on przed nimi nie jako natręt lub żebrak, lecz jako rozkazodawca, który mówi: albo żyć będziecie pod moją władzą albo was przeciwnicy zetrą. A trzeba się spieszyć z przyjęciem tego rozkazu, ażeby nie było zapóźno.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Niemiec przeciwko pangermanizmowi.

(Dokończenie).

Gdyby więc nawet istotnie pośród współczesnych ras ludzkich jedne górowały nad drugiemi wrodzonem uzdolnieniem, to należałoby się spodziewać, że po odpowiedniej zmianie środowiska różnice te mogłyby się wyrównać w ciągu kilkuset lat [1]). Ale nawet ta czasowa wyższość pojedynczych ras jest nader wątpliwą, o ile nie chodzi o wykształcenie i wyrobienie techniczne, tylko o zdolności *wrodzone*. Hertz wykazuje, ile złudzeń tkwi w kursujących wyobrażeniach o „zwierzęcej," „zbliżonej do małp" budowie ciała t. zw. ras pierwotnych; że cechy fizyczne, któremi się różni np. murzyn od Europejczyka, w znacznej części nietylko nie mają nic małpiego, ale przeciwnie są *skrajnie ludzkie* — bardziej oddalone od typu małp, niż odpowiednie cechy Europejczyka. Przytem zaś, jak stwierdza znany antropolog Ranke, wewnątrz jednej i tej samej rasy zróżniczkowanie pracy zawodowej i środowiska społecznego wytwarza różnice budowy ciała, nie mniejsze od różnic pomiędzy rasami.

Większa część pangermańskich „teoretyków ras" — przedewszystkiem Ammon, ale także Woltmann, którego zresztą dr. Hertz zbyt łagodnie sądzi—kładzie ogromny nacisk na *główny wskaźnik czaszki* [2]).

[1]) Powtarzam, że chodzi tu o cechy *funkcyonalnie ważne*, a właśnie dlatego szybko się zmieniające pod wpływem zmienionego środowiska [illegible] trybu funkcyi — nie zaś o cechy *funkcyonalnie obojętne*, a właśnie dlatego uporczywie odziedziczane, bo nie podlegające wpływowi środowiska i trybu życia. Fakt, że właśnie najobojętniejsze cechy, jak np. porządek zębów, są najmniej zmienne, oddawna znany jest zoologom, którzy z tej przyczyny te cechy funkcyonalnie obojętne cenią, jako najpewniejsze wskazówki przy badaniu filogenetycznego pokrewieństwa gatunków.

[2]) Wskaźnik ten (Längenbreitenindex) otrzymuje się, dzieląc największą szerokość czaszki (od lewej strony ku prawej) przez największą długość czaszki (od przodu do tyłu) i mnożąc przez sto. Im mniejszą jest szerokość czaszki w porównaniu do jej długości, tem niższym jest wskaźnik, tem „szlachetniejszą" jest

Ponieważ rasa skandynawska, czyli „germańska,“ jest długogłową, więc czaszka długa a wązka ma być oznaką rasy szlachetnej, powołanej do panowania, a czaszka krótka a szeroka, o objętości sześciennej, bodaj większej, niż pierwsza — oznaką urodzonych niewolników. Otóż Hertz w nader pouczający sposób zestawia fakty, dowodzące niedorzeczności tego dogmatu. Między innemi wskazuje fakt, że ludzie genialni, o ile ich czaszki mierzono, lub ich formę na podstawie dobrych portretów stwierdzono, jakoś najczęściej okazali się krótkogłowcami. Takim genialnym krótkogłowcem był Sokrates, takim był Rafael, takim był Luter, takim był Leibnitz (wskaźnik 90,3!! był zresztą polskiego pochodzenia), a dalej Kant (wskaźnik 88,5!), Laplace, Pascal, Schiller (wskaźnik 84), Napoleon Wielki [1]), Schopenhauer (wskaźnik 86!), wybitny poeta niemiecki Hamerling (wskaźnik 85,3!), a wreszcie — horribile dictu — chluba i duma rasy germańskiej, żelazny kanclerz Bismarck! Co do Michała Anioła, Dantego, Shakespeare'a, Goethego i Beethovena p. Woltmann z bólem w sercu przyznaje, że i ci olbrzymi ducha nie byli przedstawicielami czystej rasy germańskiej; Goethe np. miał czarne oczy i włosy, a szeroka twarz Beethovena — dodaję to od siebie — raczej przypomina Rosyanina lub Czecha, niż Skandynawca [2]). Woltmann chce ratować sytuacyę apodyktycznem twierdzeniem, że wspomniani mężowie byli *mieszańcami* rasy germańskiej, przyczem naturalnie genialność ich pochodziła od domieszki germańskiej. Wolne żarty!

Rozdział „o antropologicznych podstawach teoryj rasowych,“ z którego zaczerpnąłem powyższe szczegóły, zamyka dr. Hertz następującą konkluzyą:

„Wynikiem naszych rozpatrywań, przedsiewziętych z punktu widzenia antropologicznego, jest więc, że bezwzględnie niezmiennych cech rasowych wogóle niema. Co się tyczy dzisiejszych ras europejskich, to okazują one tak wielką różnolitość form, że mamy tylko wybór między dwoma wnioskami: albo przeróżne typy rasowe mieszały się między sobą w jak najintensywniejszy sposób w czasach historycznych i przedhistorycznych, albo też środowisko przeinacza rasę jeszcze potężniej i jeszcze szybciej, aniżeliśmy się spodziewali. Oba przypuszczenia niezgodne są z zasadniczemi myślami teoryj rasowych. *Zmienność* odbiera im mocny grunt *stałości ras*, a *powszechna mieszanina ras* niweczy wszelkie owe konkluzye, któreby chciały uzależnić pewne szlachetne zdolności od *czystości pochodzenia i typu*.“

W następnym rozdziale dr. Hertz oświetla liczne i głębokie niezgodności między *rozwojem rasy* a *rozwojem mowy*. Wykazuje ogromne różnice fizyczne między ludami mówiącymi językami aryjskimi, a z drugiej strony fizyczne pokrewieństwo Aryjczyków północnych z Finnami, a Aryjczyków południowych z Semitami. Przypomina, że Blumenbach nazwał rasę europejską *rasą kaukaską* dlatego, że najdoskonalszych jej przedstawicieli odnalazł w górskich szczepach Kaukazu, przedewszystkiem w Gruzinach; a właśnie gruzini mówią językiem niearyjskim. Przytem historya wszystkich krajów roi się od wypadków zlewania się szczepów różnego pochodzenia, które przyjmują wspólny język. Opierając się częściowo na teoryi prof. Ludwika Gumplowicza, Hertz opisuje ten proces *zlewania się różnorodnych szczepów w jeden naród* wprost jako *normalny proces tworzenia się narodów*. Z drugiej strony badania nad narzeczami Indyan amerykańskich dowiodły, że paręset lat geograficznej izolacyi wystarcza, aby niegdyś wspólną mowę pobratymców, rozdzielonych górami lub puszczami, zróżniczkować do niepoznania. Dopiero u ludów cywilizowanych tradycya literacka, utrwalona pismem, działa jako czynnik zachowawczy. Indyanie całej Ameryki okazują ogromne podobieństwo typu fizycznego i prawdopodobnie są pochodzenia jednolitego; mimo tego języki ich dzielą się na blizko sto niezależnych od siebie grup językowych. Oczywiście, że te grupy językowe niewiele mają do czynienia z rasą; powstały one raczej w ten sposób, że szczepy myśliwskie, rozproszywszy się po nieskończonych puszczach, szybko przestały stykać się między sobą. Wobec tego różnica lingwistyczna grupy językowej aryjskiej a semickiej bynajmniej nie przeczy możliwości wspólnego pochodzenia narodów, mówiących tymi językami.

III.

Połowę swojej książki (128 stronic!) poświęca dr. Hertz zbijaniu fałszów Houstona Stuarta Chamberlaina. Nie jest to zadanie tak niewdzięczne, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało. Taki swawolny koczownik myśli, jak Chamberlain, buja po tylu różnych dziedzinach wiedzy, że zwalczając go na wszystkich tych polach, można poruszać mnóstwo nadzwyczaj ciekawych kwestyj. Tak np. Chamberlainowi podobało się zadekretować, że Semici byli i są niezdolni do szczerych i głębokich uczuć religijnych; Aryjczyków zaś zamianował urodzonymi twórcami systematów filozoficznych o niezrównanej wartości intelektualnej i moralnej. Tym twierdzeniom przeciwstawia Hertz nader piękną rozprawę o życiu religijnem u Aryjczyków i Semitów (str. 108—182). W bardzo przekonywający sposób kreśli autor rozwój kulturalny i umysłowy dawnych mieszkańców Palestyny, twardych, pracowitych rolników, którzy ziemię, wiecznie zagrożoną przez żarłoczną pustynię, trudem swych rąk użyzniali i przeistaczali w pola, sady i winnice. Kreśli demokratyczną ideologię tego narodu włościan („każden przy swojej latorośli i w cieniu swojego drzewa oliwnego“) i demokratyczny charakter ich życia publicznego, dalej potężne pogłębienie ich życia religijnego przez walki i klęski narodowe — wytworzenie się monoteizmu jako religii narodu ściśle zespolonego wspólnem cierpieniem. Wykazuje wreszcie, jak u późniejszych proroków zrodzony z tęsknoty ideał wolności i szczęścia własnej odrodzonej ojczyzny, ideał Palestyny-raju rozrasta się i przeistacza w ideał pokoju, sprawiedliwości i szczęścia na całej ziemi: „żaden naród już więcej ręki nie podniesie przeciw drugiemu narodowi,“ ludzie przerobią miecze na pługi a dzidy na sierpy. Wreszcie religijno-etyczne poglądy autorów z epoki machabejskiej, nawskróś przesiąknięte miłością bliźniego, tworzą stopniowe przejście do owej światowej religii miłosierdzia, która miała wyjść z Palestyny.

Temu wszystkiemu Hertz przeciwstawia realistyczny obraz religii i teologii staroindyjskiej. Zaiste, obraz niezbyt powabny! U tych Aryjczyków wierzący wcale nie wymagał od boga, aby był sprawiedliwym władcą a sędzią; stosunek jego do Boga nosił poprostu charakter interesu — wierzący niósł bogu ofiarę, aby kupić za nią protekcyę. „Ja daję Tobie, dawaj Ty mnie.“ Liczni bogowie, których biografię opowiadają święte księgi braminów, wcale nie odznaczają się wzniosłym charakterem moralnym; są oni raczej niebiańskiem odzwierciedleniem tych, którzy im na ziemi stawiali ołtarze: szlachty hałaśliwej, kłótliwej a przedewszystkiem pijackiej. Pijakiem nad pijakami jest Indra, najwyższy z bogów. Żona Indry zaś oszukuje go — z małpą. W jaskrawem przeciwieństwie do owych proroków izraelskich, którzy, jak Amos, „pastuch krów, zbierający jagody morowe,“ wyszli z prostego ludu, a śmiało karcili niesprawiedliwość i przewrotność możnych tego świata, kapłani staroindyjscy byli kastą wiecznie chciwych, wiecznie o podarki żebrzących pasorzytów nadwornych. Etyka przez nich ukuta głosi, że najwyższą cnotą jest hojność dla kapłanów, najgorszym z grzechów — skąpstwo dla nich. „Złym“ jest ten, kto nie nosi ofiar; „dobrym,“ to znaczy takim, który wkupił się w łaskę bogów i kapłanów, wolno łupić złych. Naturalnie, że Hertz uznaje, jak wielkim postępem wobec tego rodzaju religii był buddyzm. Ale zdaniem jego i buddyzm stoi etycznie niżej od religii Nowego Testamentu, bo dla tej ostatniej miłość bliźniego jest *celem*, dla buddyzmu zaś dobroć wobec ludzi i wszelkich istot żyjących jest tylko *środkiem* do własnego zbawienia; jest to więc w gruncie rzeczy religia rozumnego egoizmu. A przytem buddyzm nie ostał się w Indyach; masy ludności indyjskiej niezadługo popadły znowu w najgrubsze zabobony. Wprawdzie myśl religijna, indyjska podniosła się na nadzwyczaj wysoki poziom w świętych księgach bramańskich z epoki po-buddyjskiej, t. z. upaniszadach; ale księgi te bynajmniej nie były znane ludowi, ani nawet wszystkim braminom. Były to księgi ezoteryczne, czytywane tylko przez szczupłe kółka wtajemniczonych mędrców.

Z innych walk, które Hertz zwycięzko stacza z Chamberlainem, przytoczę jeszcze jedną tylko: spór o charakter dawnych Germanów. Chamberlain naturalnie podnosi ich pod niebiosa; jako główne ich cechy uważa *wierność, miłość wolności i tolerancyę*. Otóż Hertz, przytaczając obszerne wyciągi z historyków *niemieckich*, bynajmniej nie podejrzanych o germanofobstwo — przedewszystkiem Feliksa Dahna — wykazuje, że państwo Wizygotów w Hiszpanii było siedzibą nawskróś niewolniczego, niesłychanie nietolerancyjnego klerykalizmu, podczas gdy zwycięzcy przeciwnicy Wizygotów, Arabowie semiccy, istotnie odznaczali się tolerancyą; a dalej wykazuje początki tego wizygockiego klerykalizmu w tem właśnie, że królowie w bezwzględnej uległości wobec kleru szukali ratunku — od niewierności wielmożów, ustawicznie knujących zdradzieckie spiski. Co zaś do Franków, to ich bezgraniczna wiarołomność przerażała wprost Rzymian. Wobec historycznych czynów króla Chlodwiga,

czaszka w myśl czcicieli długo-głowości. Człowiek, którego czaszka ma 18 cm. długości, a szerokości również 18 cm. ma wskaźnik 100, jest więc skrajnie krótkogłowym; natomiast człowiek, którego czaszka ma także 18 cm. długości, ale tylko 12 cm. szerokości, ma wskaźnik 66.7, czyli jest skrajnie długo-głowym. Do skrajnie długo-głowych typów należą między innymi czarni Australczycy, Papuasi, Hotentoci i Buszmani. Do narodów, złożonych przeważnie z wybitnych krótko głowców, należą między innymi: Szwajcarzy i Japończycy.

[1]) Mimo tego Woltmann i Napoleona zareklamował dla rasy germańskiej, robiąc z niego potomka Wandalów. Kiedy bowiem jakie tysiąc trzysta lat temu wojska bizantyjskie w puch rozbiły państwo Wandalów, w dzisiejszej Algeryi i Tunezyi położone, część rozbitków schroniła się na Korsykę. Ale tu pani Oda Olberg-Lerda, żona znanego działacza włoskiego, przyłapała Woltmanna na gorącym uczynku blagi: albowiem rodzina Bonapartów, jakkolwiek osiadła na Korsyce, pochodzi — z Toskanii.

[2]) Nie posiadam danych, co do wskaźnika czaszki Nietzsche'go, ale wiem, że miał oczy, włosy i wąsy czarne jak węgiel, i że według swoich własnych opowiadań pochodził z polskiej rodziny szlacheckiej, która, będąc wyznania ewangelickiego, ustąpiła z kraju przeg kontrreformacyą. — Należy zresztą zaznaczyć, że i z pośród Polaków, szczególnie z północnych okolic, bynajmniej nie brak blondynów długo głowych; bardzo być może nawet, że odsetka przedstawicieli czystego typu skandynawskiego jest pośród Polaków większa, niż pośród Niemców. Wszelako trudno orzec o tem coś określonego bez szczegółowego przestudyowania badań antropologicznych, tyczących się polskiej ludności — o ile wiem, jak dotąd niezbyt obfitych.

tego niezrównanego mistrza morderczej intrygi, wymarzony stronniczą wyobraźnią Shakespeare'a Ryszard III wydaje się dzieckiem niewinnem. Dalsza historya Merowingów i ich szlachty jest nieprzerwanym tokiem krwawych intryg i podstępnych morderstw; „zuchwalszej i bardziej zdradzieckiej szlagoneryi chyba nie zna historya.“ A zupełnie podobne fakty głosi historya o innych szczepach germańskich, Alemanach, Turyngach, Burgundach, Longobardach, a także o Anglosasach i Skandynawcach. Bogowie skandynawscy, których czyny głosi Edda islandzka, są zgrają wykrętnych łgarzy i bezczelnych wiarołomców; oczywiście są oni tacy, jakimi byli ich wielbiciele na ziemi... Słowem, Chamberlain wsypał się okrutnie!

Nawet w zarysach nie wyczerpałem obfitej treści książki Hertza. Dałem zaledwie kilka prób. Ale chyba te próby już wystarczają, aby przekonać czytelników, że tę książkę warto czytać.

Nie znaczy to bynajmniej, żeby to była książka bez skazy. Owszem, przy uważnem czytaniu można w niej odnaleźć liczne usterki. Niestrudzony, zawsze do boju pochopny, młody autor ściga swych wrogów po najodleglejszych dziedzinach lingwistyki, historyi, etnografii, antropologii; nie dziw, że mu się tu i owdzie noga potknęła. Mam naprzykład wrażenie, że różne dość dziwne rzeczy, które opowiada o Słowianach zaodrzańskich oraz o Litwinach, są nietyle faktem historycznym, co wytworem słowianożerczej wyobraźni autorów niemieckich. Albo jeśli Hertz angielskiemu królowi Henrykowi VIII każe pisać list do „króla Ludwika bawarskiego,“ to się myli, bo Bawarya wówczas jeszcze nie była królestwem. Prawdopodobnie autor miał na myśli jednego z Ludwików francuskich. Takie pomyłki przypominają nam genezę tej książki: pojedyncze jej rozdziały powstały z artykułów, pisanych dla miesięczników, a zatem pisanych dość pospiesznie. Przy drugiem wydaniu, które niezawodnie wkrótce się stanie potrzebne, należałoby te drobne uszczerbki wygładzić.

Tymczasem zaś składam Fryderykowi Hertzowi serdeczne dzięki za jego dzielną książkę. A przekonany jestem, że wzbudzi ona w każdym czytelniku tę samą wdzięczność.

Władysław Krakowski.

LITERATURA I SZTUKA.

NOWE KSIĄŻKI

— Zdzisław Dębicki: **Święto kwiatów**, poezye. Lwów. Nakładem Towarzystwa wydawniczego, 1904.

Są to rzeczy przedewszystkiem szczere. Niema pozowania, przystrajania się na modłę pewnych „klasycznych“ dzisiaj wzorów; niema uganiania się za efektami, które tłum bezwzględnie uwielbia. Tak, tłum, ów pogardzany tłum pochwycił z najnowszej poezyi pewne dźwięki, nie rozumiejąc ich treści, i uczynił z nich nowy kanon dla różnych pseudo-poetów, plujących na bezduszną ciżbę, a oglądających się za każdym jej oklaskiem. Wiersze te nic z tego w sobie nie mają. Forma ich często niewyszukana, posiada w sobie ścisłą łączność z całością. Szczerość uczucia jest bezwzględna. Po za tem „Święto kwiatów“ to poezya, a więc stoi daleko od ciągle napotykanych wyrobów, mniej lub więcej udatnych.

Skala twórczości Zdz. Dębickiego nie jest zbyt rozległa. Najwłaściwsze są mu uczucia ciche, półradosne, półsmętne. Nie razi on wprawdzie w pieśni głośnej, opartej na różnych pytaniach, dręczących umysły spragnione, lecz nie ma tu odpowiedniego napięcia, aby oddać całą grozę tragedyi ducha. Nie dowodzi to bynajmniej słabości talentu. Kto napisał takie rzeczy, jak cykl „Chwieją się w polu maki purpurowe,“ ten tego zarzutu obawiać się nie potrzebuje.

Wespół z szczerością uderza odrębny wdzięk tych wierszy. Melodya słowa wielce subtelna i miła. Niema dysonansów, jest łagodna, spokojna muzyka. To wywołuje nastrój — nic tu nie razi, nie płoszy wrażenia.

— Juliusz Słowacki: **Dzieła**. Wydanie ilustrowane. Tom II i III. Warszawa. Wydawnictwo „Wędrowca.“ 1903.

Pomysł wydania ozdobnego dzieł poety należy do udatnych. Szkoda jednak, że dział ilustracyjny nie stoi na wysokości zadania. Kartony i winiety nie wykraczają po za zwykły szablon. A przecież Słowackiemu należałoby się więcej czci od artystów. To, co zawierają te dwa tomy, robi wrażenie przykre. Niema w tych ilustracyach ani poczucia artystycznego, ani zrozumienia istoty tej gałęzi sztuk plastycznych; są to „obrazki“ wykonane na zamówienie i niemające nic wspólnego z poezyą Słowackiego. Prawda, mało u nas talentów specyalnie ilustratorskich, lecz w takim razie lepiej nie dawać wcale ilustracyj. Co do reszty, to papier gruby, glansowany, tomy duże — wszystko podług zwyczaju.

— Ignacy Józef Badowski: **Jadwiga Firlejówna**, obrazek sceniczny. Kraków. Anczyc i Sp. 1903.

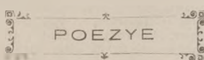
Zimna, trzeźwa robota, daleka od prawdziwej poezyi. Autor poczciwie karze występnych, nagradza cnotliwych, poprawia zbłąkanych. Naturalnie nikt tu nie wierzy w jakieś nadzwyczajności. Twardowski stosuje hypnotyzm, operuje zwierciadłami kulisto-wklęsłemi i kulisto-wypukłemi itd., ani śladu żywszego, artystycznego wzruszenia.

— Hanna Krzemieniecka: **Fatum**, studyum psychologiczne. Warszawa, 1904. Jan Fiszer.

Gdy współczesna poezya nasza objawiła się w całym szeregu utworów głębokich, zbiegiem rzeczy naturalnym spowodowała zwiększoną akcyę wydawniczą. Różne jednostki, mniej lub więcej uzdolnione i inteligentne. poczuły w sobie „iskrę bożą“ i rzuciły się do pisania i drukowania swych utworów. Można przytem zauważyć ciekawy fakt. Zwykle treść duchowa artysty znajduje się w pewnej niezgodzie z treścią duchową epoki współczesnej. Otóż różni naśladowcy, nie śmiejąc wykroczyć po za ogólnie przyjęte formułki, jednocześnie usiłują naginać do siebie sposób pisania i treść estetyczną prawdziwych twórców.

Do takich utworów należy i powieść p. H. Krzemienieckiej. Widać tu pewne oczytanie autorki oraz usiłowanie wydobycia różnych modnych efektów. Język dość gładki i potoczysty. Niema natomiast szczerości, ni śladu oryginalności twórczej.

B. B.



Życie

Maryanowi Zbrowskiemu

(o dalekie echo jednej z rozmów przeszłości)

Próżno się łudzić, że z iskier w duszy
Życie-mistrz zawsze płomień rozpali.
Ono gotowych sto kształtów skruszy,
Nim dźwignie jeden posąg ze stali.
Gdy ten zabłyśnie na piedestale,
Z tamtych okruchy — pochłoną fale.

Na bezgranicznym życia obszarze
Łudzą nas często barwne obrazki:
Jak na pustyni, lśnią tam miraże,
Jak na pustyni — kłębią się piaski.
Źle, gdy się piaski zetkną ze zdrojem,
Zwłaszcza gdy zdrój ten — sercem jest twojem.

A jeśli duszą twa jest ustronia,
Wśród której dumna palma wyrosła...
Och! Po pustyni złe wichry gonią.
Pustynia znajdzie lotnego posła.
Ten jej skrzydlaty śmierci chorąży
Twą palmę strzaska i w pył pogrąży.

Nie pozostawi wśród twej Sahary
Jednej gałązki, jednego listka,
Gdy ci sądzone pić gorycz z czary,
Gdy ci trucizna sądzona wszystka.
Piach dusi iskry, wicher je kradnie,
Na wszystko musisz patrzeć bezradnie.

Nim posąg stężał, w proch się rozpada,
Nim wybuchł płomień, zagasnąć musi.
Okropna zmora zielono-blada
Szarpie ci piersi, gardło twe dusi,
Wreszcie, gdy padniesz, w walce zmożony,
Z tryumfem topi w twem sercu szpony.

Smutna pociecha, żeś walczył z sępem,
Co serca ludzkie rwie po kawale,
Żeś każdym duszy skrwawionym strzępem
Karmił bezmyślne piaski i fale,
Gdy tym — serc milion pochłonąć trzeba,
By jednym kwiatem zabłysła gleba...

Wł. Bukowiński.

Z PRASY.

— W nr. 259 *Rusk. Wied.* czytamy następujący opis ostatnich we Włoszech wydarzeń, wynikłych z nieporozumień pomiędzy pracą a kapitałem:

„Medyolan, Genua, Rzym, Neapol wstąpiły w stan bezrobocia — pisze korespondent moskiewskiego dziennika — kraj zaległa cisza bezczynności. Przechodzę koło dworca kolei żelaznej: niema podróżnych, niema tragarzy, wzdłuż linii rozstawieni żołnierze. W kiosku niema gazet. Na poczcie nie otrzymano ani jednej posyłki; druty telegraficzne zerwane. Idę wykąpać się w morzu. Właściciel łazienki, bardzo grzeczny człowiek, odpowiada mi zmieszany, że jego siostrzeniec zgubił klucz i do kostyumów nie sposób się dostać, a odrywać zamka niepodobna, gdyż teraz naprawić by go nie było komu. W kawiarni dowiaduję się, że stan taki zapanował powszechnie w kraju, że na całym obszarze włoskiej ziemi praca przerwaną została. Na ulicach niema ani jednej dorożki, tramwaje nie chodzą, otwarto tylko sklepy z żywnością. Nawet rybacy nie wypłynęli na połów. Tak przeszła sobota i niedziela; zaczęto już przebąkiwać o wzroście cen na artykuły żywności w miastach, gdyż włościanie przerwali dowóz. Rozeszły się pogłoski o krwawych starciach w Genui, o wznoszeniu barykad. Wieści te rozpowiadano sobie po kawiarniach w rozgorączkowaniu nerwowem. Po zachodzie słońca zamierało wszelkie życie, w ulicach miasta zalegała ciemność i cisza. Nareszcie w poniedziałek przybył pierwszy pociąg, prowadzony przez żołnierzy. Następnym wybrałem się do Genuy. Tu po drodze widziałem wszędzie też same objawy przerwania pracy. W olbrzymim porcie genueńskim prawie pusto — tu i tam tylko jakaś gromadka ludzi wykonywa roboty, których nie można było przerwać. W mieście większe sklepy całkiem zamknięte, mniejsze mają żelazne zasuwy tylko do połowy podniesione i przygotowane do spuszczenia w każdej chwili; na giełdzie dolne okna z szyb wytłuczone; po placach gromadnie rozprawia lud, tramwaje nie chodzą, kawiarnie pozamykane, krążą patrole. Nagle z bocznej uliczki pędem wybiegają roznosiciele gazet, wrzeszcząc, co sił starczy;

„Bezrobocie skończone!“ Gazety rozchwytujemy i z nich dowiadujemy się: że deputowani lewicy, zebrawszy się w Medyolanie, wypracowali szereg pytań, które mają przedstawić rządowi, że reprezentanci miasta Turynu wysłali telegram do prezesa ministrów i otrzymali nań odpowiedź z zapewnieniem, że winni będą ukarani. W godzinę zabłysły światła, dworzec kolejowy zalały potoki elektryczności. A dnia następnego zawarczały fabryki, rozległy się uderzenia młotów w warsztatach okrętowych, dzwonki tramwajów w ulicach i głosy przekupniów, roznoszących towar. Życie codzienne odzyskało swe tętno.“

— W nr. 264 *Warsz. Dn.* p. S. opisuje odwiedziny swoje w jednej ze szkół warszawskich:

„Zaszedłszy w tych dniach do sali wykładowej jednej z miejskich szkół początkowych, oczy moje uderzył oryginalny widok. Z początku nie mogłem połapać się w sytuacyi. Dopiero po chwili zacząłem sobie zdawać sprawę, że to dzieci odrabiają jakieś ćwiczenia piśmienne. Odrabiają je, „siedząc“ nietylko w wązkich ławkach po czworo i więcej, lecz przy oknach, piszą na stopniach katedry, przyczem rolę krzeseł spełnia podłoga.

Kogoby nie oszołomiło tego rodzaju urządzenie szkoły współczesnej?

Na pytanie moje w tej mierze, nie wolne od gorzkiego sarkazmu, nauczyciel wyjaśnił mi osnowę sprawy. Dowiedziałem się, że szkoła przyjmuje przepisaną ilość uczniów, lecz jednocześnie nauczyciel ma prawo powiększyć liczbę wedle swoich pojęć i dobrej woli.

— Ileż pan ma prawo przyjąć dzieci?

— 40, lecz przyjąłem 70, ponieważ nie mogłem się oprzeć prośbom ojców, łzom matek i samych dzieci, garnących się do nauki.

— I tak jest wszędzie?

— Prawie wszędzie. Kto ma dobre serce, ten przyjmuje, dopóki może. Przecież i u mnie, podczas lekcyi pamięciowej, jest luźniej.

— No, a władza wie o tem, że pan ma blizko 30 dzieci po nad komplet?

— Wie. Był i lekarz i zwierzchność moja. Pierwszy zauważył, że jest ciasno i mało powietrza, zwierzchność zaś z początku przeraziła się, obiecując przenieść około 10 uczniów do innej szkoły, w dwa dni zaś potem — przysłała jeszcze... 6 uczniów, których nie mogąc już pomieścić, nie przyjąłem. Co prawda było to już niepodobieństwem.

Mówił prawdę. Pokój o 4 oknach (w podwórzu, na 3 piętrze), dość widny, lecz przesiedzieć w nim 70 uczniom w przeciągu 6—7 godzin jest rzeczą nielatwą, powiedzmy szczerze — wręcz szkodliwą. O postępach w naukach już nie wspominam, trudno bowiem wymagać od nauczyciela, aby jednocześnie mógł przelać „światło wiedzy“ do 70 głów.

Dobroć serca w danym wypadku nie przynosi pożytku.

Jaka to jest szkoła, męzka czy żeńska i jaki jej adres, rzecz ta, zdaje się, nie odgrywa wielkiej roli; dość nadmienić, że szkoła ta mieści się w Warszawie, że jest jednoklasowa i nie jest odosobniona wśród szeregu innych.“

Trzeba dodać, że na utrzymanie zakładów naukowych zarząd miejski przeznaczył na r. 1905 sumę 419,924 rb. — o 183,322 rb. mniej, niż w roku zeszłym.

— Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa poleciło warszawskiemu zarządowi za pośrednictwem leśniczych zebrać szczegółowe dane o rozmiarach nieurodzaju w guberniach: Warszawskiej, Płockiej, Kaliskiej i Piotrkowskiej i jednocześnie donieść, jakie środki przedsięwzięto na miejscu dla złagodzenia skutków nieurodzaju. Obecnie nadpłynęły odpowiedzi, które stwierdzają, że nieurodzaj jest powszechny. Zboża jare są wszędzie złe, stan kartofli jest jeszcze gorszy, trawy przepadły, a drugiej kośby traw nie robiono. Jedynie tylko zadawalająco wypadł urodzaj żyta ozimego, ale ziarna tego nie wystarczy na przekarmienie ludności wiejskiej. Urodzaj pszenicy naogół jest średni, a w niektórych miejscowościach dobry. Leśniczowie stwierdzają, że włościanie już obecnie odczuwają brak paszy dla bydła, skutkiem czego w gub. Warszawskiej cena bydła spadła o 30 proc. Włościanie w pasie pogranicznym względnie nieurodzaj tegoroczny najlepiej przetrzymają, gdyż mieli dobry zarobek latem w Prusach, a w porze zimowej trudnią się przewozem drzewa i innych surowych produktów za granicę. Ludność wiejska w oddalonych od granicy powiatach jest bezradna; do tej pory nie przedsięwzięto żadnych środków ochronnych.

— Na przyjęciu starszych urzędników ministeryum ks. Swiatopołk-Mirski wypowiedział następujące słowa:

„Przystępując dziś do spełnienia włożonych na mnie przez zaufanie Monarsze obowiązków, uważam za konieczne oświadczyć, że za podstawę kierunku powierzonego mi ministeryum przyjmę zasady, wygłoszone z wyżyn Tronu w Najmiłościwszym Manifeście 26 lutego 1903 r. Powołuję panów do czynnego i pełnego poświęcenia współpracownictwa w tym właśnie kierunku. Doświadczenie administracyjne doprowadziło mnie do głękokiego przekonania, że owocność pracy rządu oparta jest na stosunku szczerej życzliwości i szczerej ufności do instytucyj społecznych i stanowych, oraz do ludności wogóle. Jedynie przy takich warunkach pracy można osiągnąć wzajemne zaufanie, bez którego niepodobna spodziewać się trwałego powodzenia w sprawie urządzenia państwa. Powołując was, panowie, do nieustannej pracy, wierzę w siły i doświadczenie wasze, które pomogą mi osiągnąć cel w oczekiwanej pracy.“

Now. Wr. zaznacza, że „dawno nie słyszano tych prostych, ale tak wiele mówiących słów o stosunku rządu do społeczeństwa, opartym na wzajemnej życzliwości i wzajemnem zaufaniu. Odwołanie się ministra do tych uczuć odpowiada tym nieśmiałym dążeniom, tym skromnym prośbom i życzeniom, z któremi społeczeństwo temi czy innemi drogami zwracało się do rządu.“

„Nie potrzeba mówić długo — twierdzi *Ruś* — że taki system rządowy stosowania Manifestu z d. 26 lutego jest systemem nowym. W ciągu pierwszego półtora roku od chwili ogłoszenia Manifestu usiłowano przeprowadzić zasady jego władzą wyłączną biurokracyi. Instytucye społeczne nietylko nie były zaproszone do wspólnej pracy, ale jeszcze jawnie i systematycznie okazywano im nieufność, której przyczyny wyszukiwano dopiero potem. Tymczasem, jak otwarcie i nieskończenie słusznie powiedział dziś minister, trwałe powodzenie możliwe jest tylko przy ufności wzajemnej. Do ziemstwa przedewszystkiem zwrócona jest ta życzliwa mowa działacza państwowego, ufającego siłom społecznym ojczyzny — ziemstwu też wypadnie przedewszystkiem odpowiedzieć na nią faktycznie. Nie wątpimy, że w zbliżającym się „sezonie ziemskim,“ tj. podczas tegorocznej jesiennej i zimowej sesyi, szlachetne i serdeczne słowa ministra znajdą odpowiednie echo. Zbliżający się okres jest niewątpliwie okresem zjednoczenia i powodzenia; witamy go, jako jasną jutrzenkę przyszłej naszej młodej Rosyi. Mówimy o jutrzence wspólnej, owocnej pracy organicznej...“

St. Pet. Wied. twierdzą, że „otwiera się nowy okres życia społecznego przez jedno z najpotrzebniejszych słów chwili obecnej. Zaufanie! Właśnie zaufania domaga się przedewszystkiem społeczeństwo w ciągu lat ostatnich, a głównie brak zaufania ostudzał wszystkie dobre inicyatywy społeczeństwa. Wiele pozwalają się spodziewać słowa ministra, powiedziane 29 września do urzędników. Szlachetny, twórczy pierwiastek zaufania, wprowadzony do wszystkich zakątków życia, musi pociągnąć za sobą rezultaty szlachetne i świetlane.“

Ks. Meszczerski w *Graždanine* mówi:

„Rozległ się pierwszy głos dzwonu reakcyi! Nowy minister nazajutrz po nominacyi ogłosił swój program liberalny. Przyznaję się otwarcie, że bałem się tego pierwszego dźwięku reakcyi, bałem się, aby ogłoszony liberalizm nie był tak samo niejasny i nieokreślony, jak niejasną i nieokreśloną była ta polityka konserwatyzmu, która wywołała reakcyę. Wtedy mielibyśmy do czynienia z kaprysem osobistym jednego ministra i ogłoszony liberalizm, jak liberalizm Melikowa, nietylko nie uspokoiłby, ale wzmocnił niepokój przez wykazanie słabości władzy. Ale równie otwarcie powiem, że obawy moje osłabły, kiedy przekonałem się, że ten głoszony liberalizm reakcyi jest dokładnie i wyraźnie określony przez program spełniania zamiarów Monarszych i zobowiązanie dbałości o nienaruszalność podstaw państwowych.

Znaczy to, że każdy Rosyanin może być pewny, iż reakcya w ręku mądrego i wysoce uczciwego ministra zacznie się od początku, czyli od ugruntowania mocnej władzy i drogi stanowczej, aby pożytek narodu z liberalizmu nie był złudny i kłamliwy, lecz istotny, określony i trwały, aby czyny miały znaczenie mądrych i pełnych miłości działań Samowładcy Rosyjskiego, a nie ustępstw ministra w pojedynku z wrogami porządku. Niechże Bóg na długo zachowa Rosyę od reakcyi w tym ostatnim kierunku.“

„Wszyscy dobrze myślący Rosyanie — mówią *Mosk. Wied.* — mogą być spokojni. Nowy minister zupełnie nie myśli wprowadzać żadnych inowacyj i niebezpiecznych eksperymentów, o których prorokowali tak usilnie wrogowie Rosyi. Zamierza on trzymać się ściśle wypełniania Woli Najwyższej, wyrażonej półtora roku temu i powitanej z taką wiernopoddańczą radością przez całą prawie rosyjską ludność naszej ojczyzny. Wzywa on swoich podwładnych do pracy w tym właśnie kierunku, a nie w innym, jak tego może pragnęli zewnętrzni i wewnętrzni wrogowie Rosyi, marzący o zupełnie innych „szerokich horyzontach“ i idących tu w kierunku zupełnie sprzecznym z Manifestem Najwyższym z dnia 26 lutego 1903 r.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Senat wyjaśnił, że w obrębie działalności warszawskiego sądu okręgowego, tj. w Królestwie Polskiem, wójtowie gmin mają prawo zaświadczać, oprócz plenipotencyi od osób piśmiennych, również i podpisy osób, nieumiejących pisać, na plenipotencyach, przedstawianych do instytucyj sądowych.

— Na zjeździe sędziów pokoju w Warszawie przyjęto projekt adwokatów, ofiarujących się bronić bezpłatnie nieletnich przestępców w sądach pokoju i w zjeździe. Projektodawcy rozebrali pomiędzy siebie rewiry sądów pokoju, a nadto w zjeździe prowadzić będą obronę kolejno przez miesiąc.

— Zatwierdzono ustawę Kasy wzajemnej pomocy i oszczędności dla osób pracujących na polu technicznym w Warszawie.

— Francuski konsul generalny w Warszawie zawiadamia, że Tow. francusko-rosyjskie kopalni węgli w Makjewce, na południu Rosyi, potrzebuje 1,000 robotników.

— *Now. Wr.* donosi, że w Kałudze zamknięto klub kolejowy z powodu zbyt hucznych biesiad inteligencyi miejscowej z jeńcami japońskimi.

— Dla obcokrajowców, mieszkających w Królestwie Polskiem, których wydalenie z granic Rosyi dla jakichkolwiek względów jest niemożliwe, komitet ministrów wyznaczył na osiedlenie gub. Wologodzką.

— W roku 1885 w Księstwie Poznańskiem liczono: 532,000 protestantów, 1 111,000 katolików i 56,000 Żydów. W roku 1895 liczono: 559,000 protestantów, 1,227,000 katolików i 40,000 Żydów. W ciągu dziesięciu lat przeto ludność protestancka wzrosła o 27,000 głów, katolicka o 116,000, gdy liczba Żydów zeszczuplała o 16 000 głów. Zwłaszcza w najmiarodajniejszem mieście prowincyi, w Poznaniu, od r. 1871 do 1895, a więc w ciągu ćwierć wieku, ludność żydowska

zmniejszyła się o 20%. W r. 1871 było w Poznaniu Żydów 7,255, w r. 1895 już tylko 5,810.

— Według obliczeń naczelnego zarządu górniczego z r. 1898, w Westfalii i Nadrenii pracuje w kopalniach około 70,000 górników polskich. W kraju westfalsko-nadreńskim istnieje 140 stowarzyszeń polskich, sam Bochum posiada ich sześć. Prasę polską reprezentują: *Wiarus*, *Dziennik polski* i *Przewodnik na obczyźnie*. Ogólna liczba Polaków w Westfalii i Nadrenii wynosi 250,009.

Szkoły i wychowanie. Rektor uniwersytetu warszawskiego zawiadamia, że z funduszu ś. p. Wł. Młockiego na rok akademicki 1904/5, jest do rozporządzenia dla studentów wydziału historyczno-filologicznego i prawnego 16 stypendyów, po 300 rb. każde, z których 8 może być udzielonych stypendystom zeszłorocznym, o ile będzie uznane, że zasługują na nie swojem sprawowaniem i postępami w studyach; 8 pozostałych przeznaczono do podziału pomiędzy nowych studentów. Stosownie do warunków zapisu, prawo do stypendyum im. Młockiego ma młodzież pochodzenia polskiego, odznaczająca się nieposzlakowanem sprawowaniem i postępami w naukach. Przywilej co do połowy stypendyów mają członkowie rodziny legataryusza w linii męzkiej i żeńskiej, a w braku ich członkowie rodziny Leopolda i Eleonory Łęckich. Ubiegający się powinni złożyć stosowne podania na ręce rektora do d. 12 b. m. Do podań kandydaci dołączyć powinni świadectwa niezamożności, a nadto członkowie wymienionych powyżej rodzin odpowiednie do- [illegible]

— Osobom posiadającym tytuł inżyniera-technologa lub inżyniera-mechanika pozwolono na wykłady matematyki w szkołach realnych z warunkiem zdania z tego przedmiotu egzaminu, obowiązującego nauczycieli gimnazyalnych.

— Cesarska Akademia sztuk pięknych w Petersburgu, ogłasza, że udzielać będzie wiadomości o wakujących posadach wychowańcom szkół artystycznych, mającym prawo nauczania rysunków w szkołach średnich i niższych rządowych.

— Język polski wprowadzony zostanie jako przedmiot obowiązujący w seminaryach nauczycielskich w Siennicy, Łęczycy, Solcu i Jędrzejowie.

— W Poznańskiem i Prusach Zachodnich ma być zniesiony alfabet łaciński w szkołach ludowych.

Zdrowie publiczne. Pozwolono na otworzenie oddziału warsz. Tow. hygienicznego, w Piotrkowie.

— W Saratowie umarło kilka osób na cholerę.

— W miesiącu bież. otworzona będzie w Wiedniu lecznica pod kierunkiem dr. E. Langa dla dotkniętych chorobą wilka.

Literatura i prasa. Pani Lewentalowa dla uczczenia pamięci swego męża złożyła Kasie literackiej 4,500 rb., od których odsetki co lat pięć tworzyć mają dwie nagrody, w połowie za najlepszą w ciągu tego czasu oryginalnie napisaną powieść, polską, a w połowie za najlepszą sztukę dramatyczną polską, napisaną i wydrukowaną, oraz na scenie warszawskiej wystawioną.

Ze sztuki. Na konkursie *Sztuki* paryskiej, ogłoszonym na rysunek z motywów szopenowskich, pierwszej nagrody nie przyznano żadnemu utworowi, drugą (500 fr.) otrzymał p. Z. Gwozdecki.

— Szkoła dekoracyjno-artystyczna C. Chalus-Dunin ogłosiła konkursy kwartalne na r. 1904/1905. I kurs: Kafel i gzyms fajansowy — 1 nagroda 15 rb., 2 — 10 rb. II kurs: Żardinierka na stół — Bronz i Kryształ — 1 nagroda 25 rb., 2 — 10 rb. Fryz ścienny do sali jadalnej 1 nagroda 25 rb., 2 — rb. 10.

Sprawy ekonomiczne. W „Zbiorze praw" ogłoszono następującą uchwałę Rady państwa: „Wydawanie przez Tow. kred. ziem. pożyczek na posiadłości włościańskie, uwłaszczone na mocy Najwyższego ukazu z d. 19 lutego 1864 r., nastąpić może tylko w takim razie, jeśli posiadłości te obejmują, wraz z gruntami, otrzymanymi po zamianie służebności, nie mniej 90 morgów ziemi uwłaszczonej i mają przytem uregulowane granice, nie posiadają szachownicy i mają osobną hipotekę przy sądach okręgowych. Przy sprzedaży przez T. K. Z. zadłużonych w niem posiadłości włościańskich stosowane będą, niezależnie od czasu zastawienia tych posiadłości, ustanowione przez Najwyżej zatwierdzoną uchwałę Rady państwa d. 11 czerw. 1891 r. ograniczenia o uwłaszczeniu posiadłości włościańskich."

— D. 10 b. m. otworzony będzie w Bagateli doroczny jarmork na owoce.

— W *Gaz. Polskiej* czytamy: „We wszystkich prawie garbarniach warszawskich praca, wobec znacznie zmniejszonych zapotrzebowań skór, została ograniczona. Przeciętna płaca robotnika wynosi dzisiaj 5 rb. tygodniowo. W garbarniach prowincyonalnych jest znacznie gorzej, ponieważ wielu fabrykantów z obawy strat zamknęło zakłady, aż do czasu wyprzedania zapasów nagromadzonych. Niektórzy fabrykanci, celem przyjścia pracownikom z pomocą w chwili stagnacyi, użyli ich do innych robót, dekarskich, mularskich itd. Stali odbiorcy niemieccy skór tutejszych nie dają znaku życia. Pewna liczba garbarzy zwróciła się do intendentury petersburskiej ze staraniami o dostawy; odpowiedzi jeszcze nie nadeszły."

— Kasom oszczędności przy biurach pocztowych nadano prawo, bez odwoływania się do kasy centralnej, zwracania wkładów do wysokości 25 rb. z warunkiem, aby po wycofaniu oszczędności pozostał co najmniej 1 rb. wkładu w książeczce.

— Towarzystwo hygieniczne organizuje wystawę gospodarstwa domowego, która obejmie trzy działy główne: 1) okazy, dotyczące urządzenia mieszkań, jako całości, a więc plany domów i mieszkań, wzory schodów, urządzenia wentylacyjne i ogrzewanie itd.; 2) okazy, dotyczące urządzenia pokojów mieszkalnych: obicia ścienne hygieniczne, zaprawa podłóg, sposoby oczyszczania ścian i sufitów, przyrządy zabezpieczające od wypadków przy myciu okien, oświetlanie pokoju itd. Dział 3-ci obejmuje urządzenie kuchni i spiżarni.

— We Włocławku zorganizowano stowarzyszenie spożywcze „Samopomoc" z 20-rublowymi udziałami.

Zmarli. W Kopenhadze, w ostatnich dniach ubiegłego miesiąca zmarł w 44 roku życia profesor Niels Ryberg Finsen, twórca metody leczenia światłem. Urodzony na wyspie Faroer, ukończył studya medyczne w Rejkiawik w Islandyi i oddał się badaniom fizyologicznym nad działaniem światła na organizm. Te poszukiwania podsunęły mu myśl użytkowania tego czynnika przyrody, jako środka leczniczego. Pierwsze próby z ospą potwierdziły przypuszczenie: pod wpływem światła krosty goiły się lepiej. W następstwie czego Finsen zabrał się do budowania specyalnych aparatów. Szczególnie doniosłego znaczenia okazał się jego wynalazek dla leczenia wilka. Finsen założył w Kopenhadze instytut wyłącznie dla pacyentów dotkniętych tą straszną chorobą, do którego z całego świata ściągają chorzy po zdrowie, lekarze po naukę. Ten prawdziwy dobroczyńca ludzkości całe życie niemal był istotnym łazarzem, dręczonym ciężkiem cierpieniem nerwów i serca, które na całe miesiące przykuwało go do łoża. Lecz pomimo to do ostatniej chwili pracował, sam kierował zakładami swymi i badaniami licznego zastępu uczniów. Ubogim i skromnym pozostał do końca. Żadnego z wynalazków swych nie opatentował; z nagrody Nobla tylko pod naciskiem przyjaciół zgodził się zachować cząstkę dla swej rodziny, a 110,000 koron rozdzielił między instytut leczenia światłem i sanatoryum dla chorych [illegible]

OFIARY.

Na powodzian: Witkowski z Kaukazu 25 rb.

Redaktor i Wydawca **A. Dembowski.**

Дозволено Цензурою Варшава, 23 Сентября 1904 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.